

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: *Iza Moszczeńska*: Winy społeczeństwa. — *Leon Kozłowski*: Młodzież i idealizm. — *Prof. Leopold Caro*: Etatyzm. — *Leon Pączewski*: Pokłosie Konferencji Genueńskiej. — *Prof. Oskar Bujwid*. — Setna rocznica urodzin Pasteur'a, — O miastach polskich. — *Jan Lorentowicz*: Spóźnione wawrzyny. — *Hanna Zahorska (Savitri)*: Biała miłość. — Kronika literacka. — *Jakób Copeau*: Teatr „Le Vieux Colombier” i jego szkoła. — *Helena Wilman-Grabowska*: Król Pariksyzt.

WINY SPOŁECZEŃSTWA.

Narzekanie na społeczeństwo jest jedną z najpopularniejszych w Polsce piosenek. Można by bez wielkiej przesady twierdzić, że całe społeczeństwo skarży się na wady społeczeństwa — tj. każdy na wszystkich. Ten przerost autokrytycyzmu mógłby stanowić bardzo obiecujący zadatek na przyszłość, gdyby nie pewne małe — zwykle tylko myślowe zastrzeżenie: Ponieważ każdy z krytyków myśli i daje do zrozumienia, że siebie poczytuje za wyjątek z wielomiljonowej ciżby winowajców, przeto o naprawie błędów narazie trudno marzyć. Jeśli wszyscy widzą potrzebę reformy, to każdy winien ją od razu podjąć w granicach swej możliwości, tj. zacząć od siebie, i to niewątpliwie nastąpiłoby, gdyby się czuł współwinnym, współodpowiedzialnym za zbiorowość, do której należy. Na nieszczęście jest wręcz przeciwnie: obwinia się społeczeństwo zwykle dla uniewinnienia samego siebie. Gdy nasze przedsięwzięcia się nie udają, gdy czyny i ich następstwa nie odpowiadają obietnicom i zapowiedziom, gdy sprawiamy zawód tym, którzy nam zaufali — nie my winni, ogół winien. Broń Boże, nie własna nieumiejętność, nieudolność, nie błąd w założeniu i pomyłka wykonania są przyczyną — lecz to środowisko nieszczęsne, w którym nic nie może się udać, nawet to, co powinno być łatwe, a raczej dokonywać się samo przez się — jak sobie wyobrażano rzucając śmiało zapowiedzi i obietnice.

Łatwo dostrzedz, że takie zwalanie odpowiedzialności na bezimienny ogół jest po prostu niedwuznacznym wyrazem bezradnej słabości, która nie chce się rzec wysokiego o sobie mniemania a nie umie go niczem usprawiedliwić. Stanowi ono jednak zarazem czynnik wysoce szkodliwy, roznosi zarazki zgryźliwego niedołęstwa, a bezsilność indywidualną zamienia w epidemiczną, sugerując coraz szersze kręgi wiara, że niczego probować nie warto, bo i tak nic się zrobić nie da—, w takim

społeczeństwie, jak nasze“. Łagodzącym balsamem jest tu domniemanie, że każdy z tych bezradnych pesymistów mógłby dokonać nadzwyczajnych rzeczy, gdyby mu dano eksperymentować z lepszym materiałem, to jest z innym społeczeństwem. Tu warto przypomnieć, że żaden z wielkich mężów stanu w historii nie uciekał się do takiej wymówki i nie skarżył się na swoje społeczeństwo nawet wtedy, gdy sobie z niego bardzo mało robił. Jedną z zasadniczych cech talentu politycznego jest znać ludzi, bystro i trafnie oceniać ich zalety i wady i znaleźć sposób spożytkowania jednych i drugich, zarówno bowiem zalety jak i wady mają swoje odwrotne strony, a raczej ta sama właściwość bywa zaletą i wadą, zależnie od jej zastosowania i od okoliczności, w których się przejawia. I ogień i woda mogą tworzyć bogactwo i cywilizację lub szperzyć kłębki, a tak samo w świecie ludzkim najstraszniejsze katastrofy bywają następstwem lekkomyślnego puszczenia sił na fałszywe tory.

Nasi politycy lubią bardzo cytować znany aforyzm Wielopolskiego: „Dla Polaków można coś zrobić, z Polakami nie“. Zachodzi jednak pytanie, czy Wielopolski nie powinien był raczej odwrócić ostrza krytycyzmu przeciw sobie. „Dla Polaków umiem pracować, z Polakami nie“. Jakżeż mało jest ludzi, którzyby czy to w prywatnym czy publicznym życiu — umieli przyczynić doznanych zawodów szukać we własnych pomyłkach! „Nie udało mi się, przeto widocznie nie trafiłem na właściwy sposób postępowania“.

Historja często w dziwnie tragiczny sposób wyświeśla takie mylne sądy wygłaszane o całym społeczeństwie dla uniewinnienia siebie. W listach Stanisława Augusta do pani Geoffrin, w okresie Konfederacji barskiej jest dużo gorzkich skarg na niewdzięczność narodu polskiego, który obraca w niwecz najlepsze chęci swego króla. W tym samym czasie Francja rozbrzmiewała wiatowaniem na cześć Ludwika XVI-go, a Stanisław August zazdrościł — „Ach! czemuż nie jestem Królem Francuzów! Ci umieją kochać swych mo-

narchów!“ W czasie Kościuszkowskiego powstania musiał sobie nieraz powiedzieć: „Jak to dobrze być Królem w Polsce a nie we Francji!“

Jedno jest pewnem: polityk, który nie umie sobie dać rady z własnym społeczeństwem, tem wśród którego wzrósł i wychował się, napewno nie dałby sobie rady z żadnem innym.

Niema zresztą najmniejszej podstawy do twierdzenia, że społeczeństwo polskie nie jest nic warte jako całość, że nawet ludzie wielkiej miary nic z niem nie dokonają. — Nie mówiąc już o tem, że pozostawione własnym siłom, mając przeciw sobie trzy potęgi zaliczające się do pierwszorzędnych w Europie, w każdej dzielnicy umiało na swój sposób bronić się przed zaprzysiężoną mu zagładą, już po odzyskaniu niepodległego bytu zdążył o kilkakrotnie złożyć dowody swej żywotności, sprawności i spoistości.

Przeżyliśmy taki burzliwy okres powojenny kiedy mało który z krajów europejskich uniknął wewnętrznych walk, nawet bardzo gwałtownych i krwawych. Przesilenia ekonomiczne i propaganda rewolucyjna — dwie przyczyny oczywiste tych zaburzeń — bynajmniej nie oszczędzały i Polski. W interesie jej sąsiadów leżało, by zbudowany na prędce gmach państwowy jaknajszybciej spłonął w pożarze rewolucji. To też wciąż rzucano na niego iskry i kopano pod nim miny — a jednak nie zachwiał się, nie zajął płomieniem i z roku na rok tężeje. — Tego zjawiska nie można niczem innym wyjaśnić, tylko wewnętrzną odpornością tego tylekroć oczernionego, tak rzekomo rozdartego wewnątrz i lekkomyślnego społeczeństwa. Kłótlive, niesferne, gadatliwe, — jest ono w gruncie rzeczy ostrożnem, łagodnem i cierpliwem, jak żadne inne, i ma znacznie więcej poczucia odpowiedzialności niż się na pozór wydaje. Niema w niem instynktów niszczycielskich a jest smienie, które nie łatwo rozgrzesza się na zbrodnie „bratobójstwa“.

To samo poczucie odpowiedzialności, które chroni od wszczynania walki wewnętrznej, czyni je zdolnem do wielkiego zbiorowego porywu, gdy chodzi o odparcie grozy zewnętrznego najazdu. Przekonano się o tem w 1920 roku, boć zaprzeczyc nie można, że gdyby nie wyleżona wola społeczeństwa, nic nie zdołałoby wtedy ocalić Polski.

Nie komu innemu też ale społeczeństwu zawdzięczamy dwa wielkie, rzetelne zwycięstwa na dwóch najsilniej zagrożonych placówkach polskości: w Galicji Wschodniej i Wileńszczyźnie. Jedną i drugą Polsce zachowała ludność sama wbrew dyplomacji obcej i wbrew własnej polityce. I tu i tam — owo okrzyczenie niekarne społeczeństwo umiało się zdobyć na akty silnej i zważonej woli zbiorowej — i jego wola rozstrzygnęła sprawę.

Gdyby na obronę narodu nie można było nic więcej przytoczyć prócz tych czterech faktów, już i to wystarczy by stwierdzić, że Polska zdała dobry egzamin na wstępie do swej nowej historycznej ery i by obalić mniemanie, że z Polakami nic zrobić nie można. Bliższa bezstronna obserwacja może okazałaby, że piękne zalety, jakich naród dał dowód w nadzwyczajnych i wielkich momentach, nie są jego strojem od święta, lecz dają się odkryć i spożytkować w niejednej okazji

szarego dnia codziennego. Czasem wystarczy, by ogół zrozumiał, że o jego dobro chodzi, że ci — co nim kierują nie dla kaprysu i nie przez nieudolność, ale dla ważnego celu narzucają mu pewne ciężary i przykrości — (jak np. ten nieznośny minister oszczędzający skarbu) a stanje się karny, uległy, cierpliwy przez wrażliwość obywatelskiego sumienia. Jeszcze wielu — wielu rzeczy Polacy nauczyć się mogą, byle nauczycieli nie zbrakło.

I. Moszczeńska.

MŁODZIEŻ I IDEALIZM.

Zewsząd słyhać skargi rozpaczliwe...
Zapóźniony dawnych czasów widz
Mniema, patrząc na zmrózoną niwę,
Że już na niej nie powstanie nic,

Że serc ludzkich, nie już nie poruszy,
Że kwiat uczuć ani myśli kłos
Nie wystrzeli z głębi ludzkiej duszy
I nie zabrzmi świeżej pieśni głos,

Że nie będzie już światła ni ciepła
I zagaśnie nawet święty Znicz;
I że ludzkość, co w mrokach oślepiła,
W ludożerców zamieni się dziec,

Lecz gdy właśnie najwięcej się szerzą
Smutna wróżby — niewiadomo skąd
W skrzepie serca niesie wiosnę świeżą
Niewidzialny a ciepłejczy prąd.

Adam Asnyk. *W obiegu.*

Żyjemy w jednym z takich właśnie okresów, o których mówi poeta: „zewsząd słyhać skargi rozpaczliwe“ na upadek ideałów, obniżenie poziomu kulturalnego i rozpętanie egoizmów i zdaje się chwilami, że ludzkość „w ludożerców zamienia się dziec“.

Czy istotnie tak źle, jak się wydaje nam „zapóźnionym dawnych czasów widzom“, czy też może nie rozumiemy nowych czasów i nowego życia narodzin? Może nasze serca skrzepłe nie odczuwają tego niewidzialnego, a ciepłego prądu, który świeżą wiosnę niesie?

„Wiosna świeża“, to — młodzież oczywiście, pokolenie, które idzie... Ale właśnie na młodzież najczęściej słyszymy skargi i żale: zmaterializowaną jest, egoistyczną, niema ideałów.

Czy tak jest? Czy nie zachodzi tu jedno z tych nieporozumień między starszem pokoleniem, a młodszem, kiedy synowie nie uznają dawnych bogów, do których modlili się ojcowie? Czy wśród zmierzchu dawnych bogów nie rodzi się nowy bóg?

„Kroczący skrycie w dziejowym zamęciu
Bóg spodziewaną nie nadchodzi drogą;
Blaski na niebios widne firmamencie
Luną pożarów okazać się mogą,
I te nadzieje, których się zawzięcie
Czepiamy sercem, mszczą się na nas srogo.
Tymczasem zbawczej idei poczęcie
Niedostrzeżonem bywa przez nikogo...“

Myśli te nasunęły mi się z powodu skargi publicysty socjalistycznego na to, że młodzież odwraca się od socjalizmu. Porównując dzi-

siejsze pokolenie z pokoleniem, które sam reprezentuje, publicysta „z prerażeniem“ stwierdza „fakt niewątpliwy, że większość młodzieży znalazła się po tamtej stronie barykady w roli obrońców kapitalizmu i chorążych ideologii jasrawo antysocjalistycznej.

„Prerażenie zdejmuje, gdy się porówna ówczesny stan rzeczy z dzisiejszym tłumem najmłodszych“ — pisze p. Mieczysław Niedziałkowski w artykule p. t. „Idące już pokolenie“ („Trybuna“ №22): „Głośną jest ich reakcyjność. Na zjazdach ogólno-akademickich tryumfuja rezolucje grup pravicowych. Powstają organizacje młodzieży „narodowo zachowawczej, która—rzecz dawniej nie do pomyslenia—szczyści się z tego przymiotnika“.

W słowach tych typowa skarga pokolenia, którego ideały tracą urok w oczach nowego pokolenia...

P. Niedziałkowski przewiduje ten zarzut i uprzedza go uwagą, że chodzi mu przede wszystkim o nastrój idealistyczny młodzieży. „Upadek socjalizmu jest czynnikiem katastrofy w życiu duchowym naszych najbliższych następców. Katastrofie tej na imię — upadek idealizmu.

„Socjalizm, — powiada, — nie może być przyjmowany przez młodego chłopca czy młodą dziewczynę, jak system naukowy. Na plan pierwszy występuje to, co nazywamy ideologią. Socjalizm wyobraża tu pewien określony stosunek do życia, bunt odruchowy przeciw nędzy, krzywdzie społecznej, ciemnocie. Socjalizm staje się, jak ktoś ładnie powiedział, tęsknotą do ideału“.

Młodzież nie garnie się do socjalizmu a więc pozbawioną jest tęsknoty do ideału, konkluduje autor, i nie przychodzi mu namysł, że być może *socjalizm współczesny nie zadawalnia tęsknoty do ideału nowego pokolenia młodzieży*.

Przypuszczenie tembardziej uzasadnione, że duch idealizmu wygasł w socjalizmie. Socjalizm już przed wojną, schodząc z wyżyn marzeń o przyszłym lepszym ustroju na grunt realnej polityki klasowej, wyzywał się pomału swoich szat idealistycznych i stawał się partją polityczną nie lepszą i nie gorszą od innych, partją, która dąży jak i inne partje do władzy przy pomocy tych że samych metod—intryg zakulisowych i agitacji demagogicznej — dla takich że celów obrony interesów nie ludzkości i człowieczeństwa ale pewnej grupy społecznej. Przeszedłszy przez próbę wojny i komunizmu, socjalizm ostatecznie zrzucił z siebie szaty idealizmu a ukazał się oczom świata w postaci gołego interesu klasowego, który oczywiście nie może zaspokoić „tęsknoty do ideału“.

Brak idealizmu partji politycznych nieraz najjaskrawiej występuje w sprawach międzynarodowych. To też i poziom moralny socjalizmu współczesnego w Europie wyraźnie zarysował się w pamiętnych dla nas dniach lipcowych i sierpniowych 1920 r., kiedy świat socjalistyczny zachodu cieszył się z porażek polskich i pragnął zdobycia Warszawy przez wojska czerwone, kiedy robotnicy belgijscy i francuscy

nie mówiąc już o niemieckich, czeskich i t. d. nie przepuszczali ładunków do Polski, kiedy o najohydniejszych zbrodniach i gwałtach bolszewickich nie można było ani pisać w organach socjalistycznych ani mówić na wiecach robotniczych. Obrona niepodległości nie budziła sympatii w świecie socjalistycznym zachodu, gwałt nie budził w nim protestu oburzenia.

Świat ten nie widział prawdy, powiedzą. *Nie chciał widzieć prawdy i świadomie na nią oczy zamykał, bo sądził, że prawda ta nie w interesie proletariatu i partji socjalistycznej. W interesie partyjnym socjaliści wyzyskiwali urok i siłę socjalistycznej republiki czerwonej. Stosunek do bolszewików zmienił się w świecie socjalistycznym nie ze względów ideowych i zasadniczych, a ze względów polityki partyjnej, kiedy komuniści swoją taktiką zaczęli rozбивać organizacje socjalistyczne i zawodowe robotnicze. I niedawno jeszcze socjaliści zachodu próbowali wytworzyć wspólny front z moskiewską międzynarodówką i jeżeli do tego nie przyszło, to tylko dzięki temu, że przedstawiciele III-ej międzynarodówki zbyt mało zdradzali chęci do ustępstw i zbyt pogardliwie traktowali „socjal-patriotów“ i „socjal-sprzedawczyków“.*

Otóż obóz polityczny, który gotów jest przyjąć do swoich szeregów agentów czuczajek i wspólnie z nimi stworzyć „front jednolity“ nie może chyba rościć pretensji do idealizmu. Można spór toczyć o to, czy dobrze broni socjalizm interesu klasowego proletariatu czy źle, ale, że ponad ten interes klasowy nie żywi socjalizm współczesny wyższych pierwiastków ideowych, które by mogły zaspokoić głód duszy młodej, stęsknionej do ideału, — to jest niewątpliwe.

Jeżeli interes klasowy proletariatu, który wcale nie jest lepszym od innych klas społecznych, nie może być źródłem uniesień, zaspakajających tęsknotą do ideału, to z tego bynajmniej nie wynika, aby zaspokojenie to młodzież mogła znaleźć „po tamtej stronie barykady“ w obronie interesów kapitału i kapitalistów.

Nie myślę też, aby młodzież, odczuwająca tęsknotę do ideału, głębiej myśląca i subtelniej czująca, — a taka młodzież jest — znalazła w obozie narodowo-zachowawczym to, czego szuka. Teorja egoizmu narodowego nie zadowolni jej także, jak nie zadawalnia jej hasło międzynarodowej solidarności proletariatu.

Gdzież jest ta młodzież polska?

Stroni od partji, zrażona do polityki, która przybiera tak niepowabne pozory, skupia się w kółkach samokształcenia, pracując nad wyrobieniem światopoglądu, w organizacjach, mających na celu odrodzenie moralne, lub nieraz w samotności szuka ideału.

„Nie zajmuje się polityką, bo nie znoszą takiej polityki, która niema dobra kraju na względzie, a tylko osobiste i partyjne sympatje i antypatje“.

Słowa te wypisałem z pamiętnika współczesnego młodzieńca polskiego. Jest to, „Pa-

miętnik pilota polskiego“ Antoniego Scheura*), który we wrześniu 1920 r. spadł z aeroplanem w Bydgoszczy i zabił się na miejscu.

Jest to nadzwyczaj ciekawa książka, która ukazuje czytelnikowi tęskniącą do ideału młodocianą duszę polską. Autor jej umiał nietylko przy pomocy szybowca wznosić się wysoko nad powierzchnią ziemi, lecz także na skrzydłach młodości „nad poziomy“ wzlatywać a „okiem słońca ludzkości całe ogromy przenikać z końca do końca“.

Antoni Scheur kocha Polskę, odczuwa ogrom i potęgę powstającej ojczyzny. Chce „Polski zdrowej, potężnej, posiadającej moc życia fantazji, dobrobytu, która się rusza zmienia, reformuje, która życiem daje przykład i świeci innym narodom nie zaś czczem gadaniem i teorjami pustemi“. Kocha swój kraj i naród, ale nie zapomina o świecie i ludzkości nie wystrasza, że cały świat — to Warszawa i polska. Chciałby zwiedzić różne kraje, aby rozszerzyć swój horyzont, bo „ludzie żyją z nadto ciasno i jednostronnie“.

„Żeby to ja mógł, — pisze — jeździć po Polsce, po Europie i wreszcie po innych częściach świata — tak chciałbym rozszerzać swój świat coraz bardziej! Ludzie strasznie ciasno żyją i przez to jest dużo nieszczęść i zatargów, wszyscy mają na myśli swoje własne kąty, są przejści swojemi codziennymi troskami i czynnościami i nigdy nie wybiegają poza to kółko“.

Jego „projekt życiowy“ — „dążenie do doskonałości, współdziałanie w rozwoju Wszechświata czyli wypełnianie wszystkich obowiązków, a więc być wzorowym synem, bratem, mężem, ojcem — udoskonalić się, kształcić się, pomagać ludziom w dążeniu do dobra, szerzeniu rozwoju nauki, przemysłu, dobrobytu i t. d. w Polsce i na całej ziemi“... żyje nie dla zmysłów lecz dla Boga, dla Miłości, dla Prawdy, dla słońca

„Chwilami myślę — pisze w swoim pamiętniku lotnik-marzyciel, — że jest gdzieś we Wszechświecie jakiś nieograniczony zapas Miłości, Jasności, Słoneczności przepięknej, z której to słabe odblaski, prądy my tu na ziemi odczuwamy, Miłość—to musi być taka siła, coś w rodzaju elektryczności, jakaś energia przedziwna. Ludzie zapominają o jej istnieniu są jej zupełnie pozbawieni, ale ona istnieje gdzieś wiecznie i zjawia się od czasu do czasu i zamieszkuje serca nasze, jedno—na krócej, drugie dłużej“.

Młodzieniec o tak wzniosłym nastroju nie pójdzie do obozu reakcji, nie będzie stawał w obronie haseł wyzysku klasowego lub ucisku narodowego, ale nie zaciągnie się też i pod chorągiew czerwoną dyktatury proletariatu. Jego ideałem ludzkość, jako rodzina narodów, a nie klasowa międzynarodówka robotnicza.

Nie można zaprzeczyć, że i dawne pokolenie młodzieży, które zaciągało się pod sztandar czerwony miało uczucia idealistyczne o wy-

sokim napięciu, że chodziło jemu nie o interes klasowy, a o cele wyższe, idealne, patryjotyczne lub ogólnoludzkie. Lecz to pokolenie nie uświadomiło sobie sprzeczności między temi aspiracjami idealistycznymi, a materialistyczną treścią doktryny. Teraz ta sprzeczność zbyt wyraźnie ujawniła i występujący bez żadnej złudy klasowy charakter socjalizmu nie może, jak mówiliśmy, zaspokoić właśnie idealistycznych pragnień duszy młodej.

Ale pomimo tego jeszcze jest jedna zasadnicza różnica między młodzieżą tego nastroju duchowego, o którym mowa, a tem pokoleniem młodem, które szło do obozu socjalistycznego.

Pokolenie to zgodnie z tym materialistycznym i mechanicznym poglądem na świat, w którym było wychowane, nie przywiązywało wielkiej wagi do zagadnień etycznych i *wartości indywidualnej człowieka*. Zgodnie z teorią marksowską, która jest fundamentem socjalizmu współczesnego, trzeba zmienić ustrój społeczny i wówczas mechanicznie zmieniają się charaktery ludzkie.*)

Wszystkie wady moralne, według tej teorii, są następstwem wadliwego ustroju społecznego, w doskonałym społeczeństwie będą ludzie doskonali. Ponieważ do tego celu doskonałego szło się drogą czysto zewnętrznych, mechanicznych zmian, więc nad udoskonaleniem ludzkości pracowały jednostki nie tylko dalekie od doskonałości, ale nie odpowiadające nawet wymaganiom elementarnej moralności.

Świadomość, że do czystego celu potrzebne są czyste środki, i że tylko czystymi rękami można robić czystą sprawę, zupełnie nie istniała w obozie, który miał na ziemi zaprowadzić „nowy lepszy ład“. Najpotworniejsze następstwa braku tej świadomości widzimy w bolszewizmie, w którym jak w krzywym zwierciadle odbijają się wyolbrzymione, wypaczone ale istotne wady socjalizmu.

Otóż pod tym względem jest kardynalna różnica między starem pokoleniem, a tem, „które idzie“ (mówię o ideowej młodzieży); i różnica ta jest na korzyść nowego pokolenia. Po smutnych doświadczeniach, przez które przeszła ludzkość, lepsze jednostki wśród młodzieży, zaczynają pojmować, że nie można pracować nad udoskonaleniem społeczeństwa, nie doskonaląc siebie samego.

Uświadomienie tej prawdy stanowi najcharakterystyczniejszą cechę „pamiętnika pilota polskiego“. Chce być przedewszystkiem doskonałym człowiekiem. Całe stronicy pamiętnika są poświęcone rozmyśleniom na temat, że trzeba być idealnym człowiekiem, aby osiągnąć doskonałość w swoim fachu.

„Dobry lotnik powinien być idealnym człowiekiem. Przedewszystkiem musi być absolutnie pod każdym względem i w każdej sytuacji spokojnym, pewnym siebie i zrównoważonym, normalnym i zdrowym człowiekiem. Latanie połączone z jakąś obawą, ze zdenerwowaniem i niepokojem, prowadzi w krótkim czasie do

*) *Antoni Scheur* „Pamiętnik Pilota Polskiego“ z przedmową Józefa Jankowskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa.

*) Przeświadczenie to zresztą panuje nie tylko w marksowskim, ale i w innych systematach socjalistycznych.

ruiny nerwów i zdrowia i sprowadza prędzej czy później katastrofę. Przeciwnie, ludzie spokojni odczuwają prędko doskonałe działanie awiacji na nerwy i zdrowie. Latanie dla człowieka opanowanego — to ćwiczenie się w zachowaniu zimnej krwi, w skupieniu, uwadze, spokoju, odwadze i może doprowadzić do cudownych rezultatów, co nieraz widzę u starszych lotników.“

Oczywiście że lotnictwo, to specjalny fach, który wymaga specjalnych zdolności i cech charakteru. Ale tę ogólną zasadą, z której wychodzi nasz młodzieniec, że „robiąc coś, trzeba robić doskonale“, można zastosować i do każdego innego produkcyjnego fachu. Jak, nie potrzeba koniecznie aeroplanu posiadać, aby „nad poziomy wylatywać“, tak nie koniecznie potrzeba być lotnikiem, aby doznawać tego uczucia mistrzostwa, o którym mówi Antoni Scheur:

„Chcę być doskonałym, wspaniałym lotnikiem. Pragnę uczucia, że jestem wirtuozem, artystą w lataniu, ale pragnę tego właśnie z powodu tego uczucia, a nie dla sławy, która jest mi zupełnie obojętną. Nie rozumiem ludzi, których cel życia to sława i myślą, że są oni bardzo nieszczęśliwi. Ja chciałbym pozostać zawsze jednakowo skromnym, łatwym, prostym i naturalnym człowiekiem, pewnym siebie, a co o mnie myślą inni, to już wcale mnie nie obchodzi, — ma się rozumieć, że chciałbym, żeby mnie wszyscy kochali i mieli zaufanie do mnie“.

Być doskonałym w swoim fachu, być idealnym człowiekiem i przyczyniać się do doskonałości we Wszechświecie, taki jest program życiowy młodzieńca, taka jest nowa wewnętrzna orientacja „pokolenia które idzie“.

Jest to zdrowa i potrzebna orientacja, bo odrodzenia moralnego i pracy — tego przede wszystkim potrzebują i Polska i ludzkość cała.

Leon Kozłowski.

ETATYZM.

II.

Gospodarka wojenna popełniła fatalne usterki, zniechęciła szeroki ogół do wszelkiego przymusu, więcej u nas niż w innych krajach. Ale nie trzeba zapominać, że w normalnych pokojowych stosunkach nie trzeba wcale ujęcia życia w ramy aż w tych rozmiarach, jakie były konieczne w czasie wojny; powtóre, że była to pierwsza próba uregulowania wszystkich stosunków gospodarczych objętych dotąd zupełnym chaosem, wreszcie zaś, że u nas nie mogło być entuzjazmu dla wojny między mocarstwami zaborczymi skoro na naszych ziemiach był teren krwiożerczych walk, z wyjątkiem tych nielicznych w każdym społeczeństwie patriótów-ideowców, którzy zgadzali się na ofiary materialne najcięższe byle doczekać się tej przepowiedzianej przez Mickiewicza wojny ludów, która i nam miała przynieść oswobodzenie; skutkiem tego zaś na ziemiach polskich i władze wprowadzające przymus i rygory gospodarki wojennej gorzej funkcjonowały a ogół przyzwyczajony do dawnych wygod, wszelkie niedomagania silniej odczuwał. Jeżeli więc gospodarka wojenna nie stała na wysokości zadania, to zbyt pośpieszonym byłoby stąd

wniosek tryumfu liberalizmu ekonomicznego. Nawet w dziedzinie przedsiębiorstw czysto państwowych, acz nieudolnie i gorzej niż prywatne prowadzonych, nie możemy zapominać o fakcie, że dochód z nich wpływa do kas państwowych, podczas gdy dochód z przedsiębiorstw prywatnych wypełnia tylko kieszenie jednostek. Powtóre zaś najpiękniejsze formułki klasyków liberalizmu i marzenia anarchistów jak w szczególności ich Jana Chrzciciela, — Proudhona i księcia Krapotkina nie mogą obalić faktu, że ogół ludzi potrzebuje nad sobą silnej ręki, sprawiedliwego, świadomego siebie i stanowczego kierunku. Musi więc być rząd wyposażony w silną władzę. Otóż żaden rząd, a więc i nasz nie może patrzeć obojętnie na wykaz jednej klasy społecznej przez drugą. I jak położył kres dawniej nadużyciom popełnianym przez fabrykanta wobec robotnika fabrycznego przez zakaz trucku, ochronę pracy kobiet i dzieci, ustanowienie normalnego dnia roboczego, wprowadzenie instytucji inspektorów fabrycznych i t. d. tak dziś obowiązkiem jego jest nie pozwolić na dalsze wyzyskiwanie ogółu konsumentów wszelkich towarów codziennej potrzeby w obrocie przez producentów i pośredników. A jeśli tak jest nie wolno mu poprzestać na represji mieszczącej się w ustawach karnych, ale musi działać zapobiegawczo, stwarzając warunki surowej kontroli dla producentów i pośredników, uniemożliwić wywóz towarów codziennej potrzeby aż do zaspokojenia zupełnego wszystkich potrzeb wewnętrznych, nie powinien być więc dozwoleń na wywóz zboża, skutkiem czego szalenie wzrosły ceny wewnętrzne a nado grozi nam w lipcu dokupno zboża z Rumunji i Kanady; fatalnie uczynił zawieszając pobieranie cła przywozowego tylko na okres 6-ciu tygodni od ryżu, mąki, kaszy, masła, śledzi, ryb etc. tudzież obniżając tylko na ten sam okres cło od obuwia, odzieży i bielizny (rozp. z 25. 2—1922 nr. 15 poz. 137), co oczywiście wyjść mogło tylko na korzyść kupców, nie zaś ogółu konsumentów; następnie zaś winien był znieść zupełnie a nie tylko zniżyć cło od ryżu, mąki i masła (rozp. min. z 7. 4—1922 nr. 28 poz. 231); winien wogóle zrzekać się nawet poprawy bilansu handlowego, jeśli ona ma być okupiona uszczerbkiem własnych obywateli lub wstrzymaniem dowozu towarów w kraju koniecznych, na które producenci krajowi, jak np. nasi fabrykanci papieru żądają cen wygórowanych. Ogół obywateli musi pamiętać o tem, że w interesie kapitalizmu jest powiększać i rozdmuchiwać istotne zresztą niedomagania maszyny państwowej, pragnie on bowiem najbardziej zredukować zadania państwowe i uwolnić się z powołaniem na „naukę“ od niepożądanego zawsze i niedogodnego kontroli. Nasz charakter narodowy, w gruncie rzeczy poddający się chętnie umiejętnemu i bezinteresownemu kierownictwu, wcale nie sprzeciwia się rozszerzaniu się władzy państwowej. Co w tej mierze przeciw temu zapatrywaniu się przytacza, wytłumaczyć można dwoma faktami: tem że dostrzegamy najłatwiej to co pragniemy widzieć, powtóre zaś tem, że dziś naród stanowi blisko 30-miljonową ludność, podczas gdy w czasach, w których powstał sąd o naszej rzekomej skłonności do anarchji. naród polski składał się wyłącznie z jednej tylko warstwy.

Państwo nowoczesne ma do spełnienia szeregi socjalne i gospodarcze zadania, należy mu się

więc w tych dziedzinach wpływ rozległy, który winien wstrzymać się lub ograniczyć dopiero tam, gdzie inicjatywa prywatna nie koliduje z interesem publicznym, ale owszem mu służy. Wpływowi temu przeciwni są oprócz zwolenników szkoły liberalnej także prawowierni marksiści, obawiając się słusznie wzmocnienia tą drogą porządku społecznego oraz zwycięstwa pierwiastku etycznego, któremu tak w dziejach jak i w gospodarstwie społecznym przeczą na równi ze zwolennikami liberalizmu ekonomicznego. Kto przez rozkład społeczny i zniszczenie dzisiejszej kultury kroczyć chce do nowego ustroju ten oczywiście w koncentracji kapitałów, w anarchii produkcji, jak dotychczas, w niezadowoleniu warstw uboższych powita pożądany etap w drodze ku przewrotowi; wszystkie zaś reformy uprzystępniające własność najszerszym warstwom, zmierzające do ustalenia cen, przestrzegające dobrej wiary i równomierności świadczeń w obrocie, co przecie jest jedną z kardynalnych zasad nowoczesnego prawodawstwa cywilnego (por. w szczególności § 134 niemieckiego kodeksu oraz § 879 u. c. a. w tekście ustalonym nowelą z 19. 3—1916 r.) traktują chętnie z lekceważeniem jako bezskuteczne i mało ważne paliatywy.

Wspomniałem o uprzystępnieniu własności najszerszym warstwom, w czym jestem w zgodzie z encykliką *Rerum novarum*, która domaga się sprawiedliwszego rozdziału dóbr (*aequior distributio bonorum*), ale nie chciałbym być rozumianym w ten sposób, że uważam naszą reformę rolną za szczęśliwie ujętą. Przeciwnie, uważam za jeden z jej kardynalnych błędów ustanowienie kolejności majątków podlegających wywłaszczeniu w obrębie każdego powiatu z osobna, podczas gdy mojem zdaniem ta kolejność w zasadzie słuszna nie powinna podlegać żadnym terytorjalnym ograniczeniom. Głód ziemi jednych z interesem produkcji i dobrem publicznym pogodzić da się najlepiej m. zd. przez wyznaczenie ziemi dla bezrolnych i małorolnych na kresach wschodnich pozbawionych dziś dostatecznej liczby ludności. Ze stanowiska społecznego, populacjonistycznego i narodowego byłaby taka zmiana ustawy równie korzystna, celowi zaś gospodarczemu stworzenia średniej własności kmiecej możnaby uczynić zadość w drodze parcelacji dobrowolnej.

Zainteresowanie najszerszych kół społecznych w dzisiejszym ustroju jest gwarancją dalszego istnienia całej naszej kultury. To zainteresowanie pokrywa się atoli ze wzmocnieniem gospodarczym uboższych klas społecznych, uzasadnionem także względami sprawiedliwości a więc z kontrolą obrotu i produkcji—a nie może to nastąpić bez udziału państwa. Dlatego uważam dążenie do rozszerzenia zakresu działania związków publicznych za uzasadnione.

Ala jak to uczynić, gdy wszystko rozbija się o niski poziom moralny pewnej części naszej biurokracji? Kontrolerzy są czasem gorsi od kontrolowanych. Na to odpowiadam: skoro po krwawych doświadczeniach rosyjskich dojrzało zrozumienie, że rację mieli Plato, Tom-Morus, Sismondi, Owen, Carlyle i Ruskin, tudzież syndykaliści francuscy głosząc zasadę, że wszelką reformę socjalną zacząć należy od *reformy etycznej*, pierwszym dążeniem naszym być musi wytworzenie silnej, solidarnej, zgodnej i pokrywającej się z zasadami

dekalogu opinii publicznej, wychowanie młodego pokolenia w kierunku harcerstwa a wymaganie od kandydatów do posad rządowych oprócz stopni naukowych w pierwszym rzędzie stwierdzenia kwalifikacji moralnych celem zabezpieczenia się od napływu żywiołów podejrzanym i niepewnym do urzędów publicznych. Gdy w ten sposób uda się nam wytworzyć, może jeszcze nie zaraz ale za lat kilka elitę urzędników-obywateli i odpowiednio pokierować wychowaniem młodego pokolenia, ingerencja państwa w rzeczy gospodarczych, choć i później pewnym kategorjom ludzi nie będzie dogodną, przynajmniej ogółowi patriotycznemu nie wyda się tak straszną, ujrzymy bowiem zbawienny wpływ jej wobec producentów prywatnych i pośredników oraz kupców wszelkiego rodzaju, który i ich samych podniesie bodaj na ten poziom moralny, na jakim znajdują się pod wpływem silnej i świadomej celów swych władzy państwowej ich rówieśnicy zawodowi w Europie zachodniej.

Taka ingerencja, to wszak tylko przewaga państwowa nad jednostką, dobra publicznego nad dobrem prywatnym, wszak to tylko tłumienie egoizmu na rzecz owej „*salus rei publicae*“, która winna nietylko w słowach ale i w czynie dnia codziennego być najwyższem dla nas prawem. Wszak państwo jest wedle pięknych słów Fichtego urzeczywistnieniem doczesnej wieczności dla każdego jej obywatela a wedle encykliki *Immortale Dei* Leona XIII jest służą Bożym ku dobremu. Uzasadnioną i dawną niechęć lub bodaj nieufność do państw zaborczych wykazuje pewna część naszych klas zamożnych, pragnąc ją dziś skierować niebacznie przeciw najdroższemu naszemu klejnotowi: *własnemu państwu*. Nie zapoznaję słabych stron gospodarki państwowej, daleki jestem od wiary w możność lub pożądalność uniformowania społeczeństwa i oddania go daleko idącemu przymusowi, nie oświadczam się więc za socjalizmem państwowym, pragnę tylko, abyśmy na warunki rozwoju gospodarczego naszego państwa patrzali bez apriorycznych uprzedzeń i predylekcji, ale wyłączenie na podstawie faktów i obserwacji i stąd w każdym okresie zastosowali taką dozę wolności i przymusu, jaka najlepiej odpowiadać będzie obok chwilowego naszego poziomu etycznego i kulturalnego powszechnemu dobru wszystkich i jaśniejszej przyszłości naszej Ojczyzny.

Jeżeli więc czeka nas może w najbliższym czasie bolesny problem uszczuplenia władzy gospodarczej państwa w dziedzinie kolejnictwa, kopalni soli czy też węgla, telefonów czy eksploatacji puszczy Białowieskiej, zdajmy sobie sprawę z *istotnych* przyczyn tego stanu rzeczy i dążmy zgodnie do ich usunięcia a nie wprowadzajmy w błąd samych siebie frazesem o wrzekomej wyższości systemu wolnej konkurencji a błędności kontroli państwowej. Następne już pokolenie, w którym nie będzie „słowa i czynów rozdziału“ zgodzi się niewątpliwie chętnie na większą ingerencję państwa i ograniczenie własności w interesie dobra publicznego.

Na zakończenie jedna jeszcze uwaga. Gdyby zapatrywania, którym dałem tu wyraz, znalazły nawet akces u całego Szan. zgromadzenia, jednak oświadczyłbym się przeciw głosowaniu nad tezami bądź to mojemu bądź to innym P. P. referentów. Czyż bowiem wynik głosowania mógłby nas prze-

konać o trafności tych lub owych zapatrywań, pomijając już okoliczność, że nieobecna tu liczebna większość wykształconej ekonomicznie inteligencji polskiej nas tu ani nie przysłała ani do głosowania nie upoważniła. Pozatem tylko treść i waga samych argumentów mogą tu decydować. O tem zaś czy argumenty jednej lub drugiej są trafne, przekona nie głosowanie, ale życie. Gdybyśmy mieli rozwiniętą produkcję, nie tylko wystarczającą dla potrzeb własnych ale i zdolną do wywozu we wszystkich najważniejszych przedmiotach zapotrzebowania, czy moglibyśmy przyznawać się do innego hasła jak tylko do wolnego handlu? I na odwrót, czy dziś w interesie naszego kiełkującego dopiero przemysłu nie musimy oświadczyć się za celami protekcyjnymi? Tak samo gdybyśmy we krwi mieli lub w ciągu stuleci wyrobili sobie zdolności handlowe jak Żydzi, Wenecjanie, Genuańczycy, Holendrzy, Anglicy lub inne narody zachodu Europy, z jaką radością powitalibyśmy wszyscy zasadę wolnej konkurencji! Gdybyśmy natomiast pełni entuzjazmu i bezinteresowności wszyscy tak kochali Polskę, jak pierwsi Chrześcijanie Kościół, czy wątpilibyśmy o tem, że działając jako urzędnicy państwa dla jego dobra, wykonując jego wolę, spełniać będziemy ten obowiązek z pełnym oddaniem i poświęceniem, jakiego przeciwieństwo niestety u nas z tylu stron się zarzuca?

Widzimy stąd że dana kwestja nie jest bynajmniej kwestją zasady ale i dogodności. Nie powinna ona brzmieć: który system ma zasadniczą wyższość, wolny handel, czy też protekcyjizm lub wolna konkurencja czy też różne stopnie jej ograniczeń, nazwane ogólnie etatyzmem? Ale brzmieć winna skromniej, t.j. czy w *bieżącej polityce gospodarczej* Polska powinna jednemu lub drugiemu systemowi przyznać pierwszeństwo? To też jądro moich wywodów tkwi w dążeniu do wykazania, że obłokanie wolnej konkurencji w królewską purpurę niezmiennego ekonomicznego prawa i przywołanie jej do pomocy teorii ekonomji nie jest uzasadnione. Mógłby za nią — i to miejmy nadzieję na krótką metę przemawiać tylko względ chwilowej dogodności.

W zamian, gdy nastanie epoka większej sympatii dla ingerencji państwa niż dzisiaj, przy takim postawieniu kwestji. jakiemu dałem wyraz nie będzie obawy, iż po niej nastąpi nieuchronnie państwo komunistyczne. Będziemy i wówczas trzymać się granic sprawiedliwej równowagi wolności i przymusu, i eicjatywy prywatnej i obowiązków publicznych tudzież opieki społecznej a granice między temi odrębnymi światami myśli i woli wskażą właściwości naszego charakteru narodowego i wspólny cel: dobro publiczne.

Prof. D-r. Leopold Caro.

Pokłosie konferencji genueńskiej*).

Od czasu zakończenia prac konferencji genueńskiej upłynęło już szereg tygodni. Jej dotychczas jedynym konkretnym rezultatem jest zwołanie nowej konferencji w Hadze, poświęconej sprawom kredytu, długów rosyjskich i

zwrotu mienia prywatnego. Przebieg jej i wyniki są trzymane w największej tajemnicy i wobec tego trudno o nich wydać dotychczas jaki taki sąd. O ile jednak sprawa rosyjska jest dziś znów przedmiotem zainteresowania i przyczyną tarę na międzynarodowym forum politycznym, uchwały w zakresie spraw czysto ekonomicznych poszły w niepamięć, nie zaprzatają niczyjej uwagi i nie budzą nigdzie troski o ich wykonanie. Zagadnieniom gospodarczym w Genui tylko pierwotnie usiłowano nadać większe znaczenie.

W Genui bowiem miał narodzić się wielki plan reform, miał być opracowany program odbudowy gospodarczej świata, powzięte decyzje co do zaradzenia tużnościom finansowym, w jakich znalazły się wszystkie niemal kraje Europy. Wielu optymistom jawiła się już w oddali jutrznia stabilizacji walut i zdawało się im, iż bezpośrednim rezultatem Konferencji stanie się powrót do waluty złotej oraz do nieskrępowanej niczem wolnej wymiany towarów.

Ale z zapowiadanej Konferencji gospodarczej Konferencja genueńska stała się wkrótce Konferencją gospodarczo-polityczną, a z czasem widowiskiem wyłącznie zmagania się politycznych. Wysoka polityka umniejszyła doniosłość wielkich autorytetów z komisji i podkomisji finansowych i gospodarczych, zepchnęła zagadnienia ekonomiczne do rzędu kwestji akcesoryjnych. W tych powzięte uchwały jakby uszły uwagi uczestników Konferencji i nie były też poza nią przedmiotem gruntowniejszych roztrząsań. Gorączkowy nastrój, jaki panował na Konferencji, udzielił się, zdaje się, również rzeczoznawcom w sprawach ekonomicznych, których prace w komisjach prowadzone były często wpośpiechu, bez głębszego zbadania istoty zagadnień, nad którymi się zastanawiano. To też uchwały treści ekonomicznej, na konferencji zapadłe, są przeważnie typu deklamacyjnych frazesów, teoretycznych zaleceń, dobrze już znanych szerokiemu ogółowi z innych Konferencji międzynarodowych.

Pewne praktyczne znaczenie mieć może uchwała, dotycząca zwołania Konferencji centralnych banków emisyjnych, której zadaniem byłoby uregulowanie kwestji walutowych i kredytowych.

We wspomnianej uchwale jest przede wszystkim znamienne to, iż przewidziane jest w projektowanej Konferencji uczestniczenie St. Zjednoczonych. Wiadomo, iż na Konferencji genueńskiej Stany Zjednoczone udziału nie brały, co niewątpliwie odbiło się bardzo niekorzystnie na jej rezultatach. Jest bowiem jasne, iż należyte rozwiązanie kwestji finansowych w Europie bez udziału St. Zjednoczonych nie da się skutecznie. St. Zjedn. są dziś największym dłużnikiem Europy. W pierwszym numerze czasopisma „Odbudowa Europy“, wydawanym od niedawna przez „Manchester Guardian“ i redagowanym przez prof. Keynesa, prof. Friday z Uniwersytetu w Michigan wykazuje, iż Europa jest dłużna St. Zjedn. prawie 15 miliardów dolarów. Tego długu Europa nie jest w stanie zapłacić St. Zjedn.

*) Patrz: Nn 19 i 22.

czonym, ani teraz, ani w dalszej przyszłości. Gdyby nawet Europa była w stanie dług ten wyrównać, nie mogłoby to pozostać bez destrukcyjnego wpływu na stan jej gospodarki. W St. Zjedn. znajdują się obecnie olbrzymie kapitały, które na miejscu nie mogą znaleźć dogodnej dla siebie lokaty. Niechże więc te kapitały przenikną do Europy i będą tam korzystnie zrealizowane. Z jednej strony, amerykański ich posiadacz będzie mógł w ten sposób skapitalizować swe zyski wojenne, z drugiej — przyczynią się one do poprawy finansów państw europejskich.

Na Konferencji genueńskiej głęboko sobie uświadomiono, iż wielkiem było złudzeniem sądzić, iż bez St. Zjedn. jej prace doprowadzą do jakichkolwiek rezultatów. Temu złudzeniu nie chce oddawać się przyszła Konferencja centralnych banków emisyjnych. W odnośnej rezolucji powiedziane jest: Jeśli kraje uczestniczące oraz St. Zjedn. mają się posługiwać tym samym miernikiem monetarnym, żaden program, mający na celu stabilizację zdolności nabywczej jednostki monetarnej, nie może być owocnym, jeśli Europa nie określi w porozumieniu ze St. Zjedn. środków, jakie należy powziąć; w tym celu należałoby St. Zjedn. zaprosić do współpracy z nią. Jakież jest cel projektowanej Konferencji? Ma ona zbadać sposoby realizacji założeń Konferencji genueńskiej, a które dotyczą:

a) pokrywania przez rządy swoich corocznych wydatków bez uciekania się do tworzenia pieniędzy papierowych lub do otwierania kredytów bankowych.

b) ustalenia (gdy tylko warunki na to pozwolą) wartości w złocie jednostki monetarnej (wartość ta niekoniecznie będzie dawnym parytetem złotym).

c) utworzenia dostatecznej rezerwy uznanych walorów, która pozwoli utrzymać wartość w złocie waluty krajowej (rezerwa ta niekoniecznie jednak musi składać się ze złota).

Nie można w tej chwili przesądzać o tych, czy innych rezultatach projektowanej Konferencji banków centralnych. Wydaje się jednak, iż o ile St. Zjednoczone zgłoszą do niej swój akces, ich udział i ewent. gotowość ścisłej współpracy w dziele uzdrowienia finansów Europy.

W sprawie kursów wekslowych konferencja wypowiedziała się za zniesieniem sztucznej kontroli operacji dewizowych, która dotychczas polegała na wydawaniu pozwoleń dla prowadzenia tego rodzaju operacji, krępowaniu wolności terminowych operacji dewizowych, ograniczaniu kursów, na podstawie których takie operacje są skutecznie i wreszcie na ustaleniu różnic pomiędzy celami, dla których żąda się dewiz.

W poprzednim artykule pisaliśmy już o propozycjach, jakie były wysuwane na konferencji i dotyczące środków, prowadzących do stabilizacji walut. Rezolucje konferencji w tej tak doniosłej sprawie sprowadzają się do założeń następujących: rozróżnica się dwa rodzaje krajów: 1) kraje, w których inflacja miała miejsce, ale została już powstrzymana i gdzie już obecnie ma miejsce deflacja, 2) kraje, w któ-

rych inflacja trwa w dalszym ciągu. Konferencja daje wyraz pragnieniu, aby również ta druga kategoria krajów przeszła do kategorii pierwszej. Jak się to ma stać, konferencja dokładnie nie wyjaśnia i nie daje wskazówek, które mogłyby mieć praktyczną wartość. Trudno się bowiem zgodzić, aby stabilizacja walut możliwa była do osiągnięcia w drodze zarządzeń (punkt 8). Kwestja dewaluacji, zdaniem rzeczoznawców, rozwiązana być musi przez każdy kraj, stosownie do tego, jak sam zapatruje się na korzyści. W krajach, w których kurs spadł w znacznym stopniu poniżej przedwojennego parytetu złotego, powrót do tego parytetu pociągnąłby za sobą z jednej strony dezorganizację społeczną i gospodarczą w związku z nieustannym dostosowywaniem się zarobków i cen, zaś z drugiej strony ciągły wzrost ciężaru długów wewnętrznych. Wreszcie każdy kraj, który osiągnął względną stabilizację waluty na poziomie tyle niższym od parytetu dawnego, że powrót do tegoż stanowiłby długi i mozolny proces, przyczyniłby się znacznie do poprawy swych wewnętrznych stosunków gospodarczych i oddałby wielką usługę dziełu odbudowy Europy, gdyby pierwszy śmiało powziął inicjatywę natychmiastowego ustalenia wartości swej waluty w złocie przez ustanowienie nowego parytetu równego lub zbliżonego do poziomu, na którym została osiągnięta względna stabilizacja. Ten pogląd o charakterze wybitnie abstrakcyjnym można analizować jedynie z punktu widzenia teoretycznego, nie może on natomiast być przyjęty za podstawę, na której mogłyby oprzeć się poczynania praktyczne. Takież charakter posiadają rezolucje, dotyczące kredytów. I tutaj wyporacowane są zasady podręcznikowe, które mogą być tylko przyjęte do wiadomości. Przytoczymy dla ilustracji odnośnych pouczeń konferencji wywody jej następujące:

„Koniecznym jest przyjęcie w obecnym okresie przejściowym systemu specjalnego w celu wywołania dopływu kapitałów i umożliwienia, aby współpraca krajów pod względem finansowym najsilniejszych stała się zaraz skuteczną.

„Najlepszą gwarancją, jakiej kraj pożyczający dostarczyć może ewentualnemu wierzycielowi, jest udowodnienie mu, że czyni poważne wysiłki w celu poprawienia stanu finansów publicznych.

„Najbardziej kompletne informacje niezbędne są dla stworzenia i utrzymania zaufania“.

Mowa jest nadto o tem, w jaki sposób kraje będą mogły zrównoważyć swoje budżety, o potrzebie popierania założenia i ułatwienia działalności projektowanego Międzynarodowego Konsorcjum, mającego umożliwić odbudowę gospodarczą Europy i t. p.

Chciałoby się zapytać, jaki cel mają te akademickie pouczenia, komu one są potrzebne i w jakim stopniu mogą one być pomocne życiu gospodarczemu Europy, którego uzdrowienie mogłoby nastąpić jedynie tylko w drodze rozumnie obmyślanej wspólnej akcji narodów, najsilniejszych finansowo. Praktyczny walor tym wszystkim zaleceniom ma nadać druga konferencja, mianowicie Konferencja central-

nych banków emisyjnych. Ale czy ten nowy areopag prawdopodobnie również najwybitniejszych finansistów i bankierów powie więcej i rzeczy bardziej ważkie, niż Konferencja genueńska, pokaże nam przyszłość. Dotychczas odbyte Konferencje międzynarodowe tak osłabiły zaufanie świata do wszelakich tego rodzaju obrad, że wolno już teraz żywić pewien sceptycyzm dla jeszcze jednej próby, która tylko wzmocnić może przekonanie jeśli nie o bankructwie, to w każdym razie o stagnacji w dziedzinie teoretyczno-ekonomicznej.

Leon Pączewski.

OBCHÓD W STRASBURGU SETNEJ ROZNIICY URODZIN PASTEURA.

We Francji przygotowuje się wielkie święto międzynarodowego znaczenia. W Strasburgu w roku przyszłym odsłonięty ma być pomnik tego wielkiego patrioty i wszechświatowej sławy badacza. Rocznica urodzin przypadnie właściwie już w grudniu r. b. ale obchód odłożono do wiosny roku przyszłego, ażeby umożliwić jednocześnie urządzenie wystawy międzynarodowej, mającej na celu przedstawić przewrót dokonany w różnych dziedzinach: w dziedzinie medycyny, higieny, przemysłu i rolnictwa.

Pomnik na który płyną składki ze wszystkich stron świata stanie na placu uniwersyteckim w Strasburgu: tutaj bowiem Pasteur dokonał swych odkryć wiekopomnych z dziedziny chemji związków organicznych.

Nie możemy pozostać bezczynni w tym kierunku. Winien się utworzyć i u nas komitet, któryby zebrał składki w Polsce dla uczczenia jednego z największych genjuszów Francji.

Ale jednocześnie na jednym z obszernych placów należących do miasta urządzona będzie wystawa która obejmie wyżej wspomniane działy nauki, przemysłu i rolnictwa. Świat cały niewątpliwie weźmie udział w tej wystawie. Czyżby nas miało brakować teraz, gdy więcej niż kiedykolwiek węzłów łączy nas z Francją i jej cywilizacyjnymi dążeniami.

Obecnie już rozsyłane są programy zjazdów naukowych i związanych z przemysłem i rolnictwem. Przygotowują się pola doświadczalne dla studjów nad nowszymi metodami stosowanymi w rolnictwie, dotyczącymi działania zwłaszcza różnych maszyn do uprawy roli.

Sprawami temi winny by się już teraz zająć sfery zainteresowane.

Polsko - Francuskie tow. lekarskie na ostatnim posiedzeniu zrobiło początek, wybierając Komitet obchodu Pasteura.

Prof. O. Bujwid.

IDEE I ŻYCIE.

O MIASTACH POLSKICH.

(Jan Ptaśnik. „Miasta w Polsce“. Wydawnictwo Księgarni H. Altenberga we Lwowie.)

Poświęcony „Miastom w Polsce“ drugi tom biblioteki popularno-naukowej pod nazwą „Wiedza współczesna“, wydawanej przez księgarnię H. Altenberga, jest książką bardzo pożyteczną i bardzo na czasie. Słusznie powiada p. Ptaśnik w słowie wstępnym, że „badania nad historją miast mają dla naszego narodu daleko większe znaczenie, aniżeli gdzieindziej, przeszłość nasza bowiem, nie zdobyła się na utworzenie potężnego rodzinnego stanu miejskiego, państwo polskie przez cały czas swego istnienia było pozbawione udziału w rządach tego najinteligentniejszego i co najmniej równie ważnego jak szlachecki czynnik. Zemściło się to na losach Rzeczypospolitej“.

„Odrodzona Ojczyzna bezwątpienia — wyraża nadzieję autor, — naprawi błąd przeszłości, otoczy szczególną opieką mieszczaństwo polskie i miasta, zwłaszcza te, które położone wśród różnych narodowości mają wysoko dźwżyć sztandar polskiej kultury i przywiązywać do niej obce żywioły. Równoległe zaś z popieraniem interesów miejskich winno iść popieranie naukowych badań nad dawnymi stosunkami miejskimi, nad historją handlu i przemysłu w Polsce. Bo wypadłoby chyba dokładnie poznać przyczyny, które nie pozwoliły na powstanie u nas silnego ekonomicznego i politycznego stanu trzeciego, aby nie popaść znowu w błędy i zło przeszłości.“

Gdzież główne źródło tych błędów przeszłości?

Autor wyjaśnia nam, że źródło to tkwiło w bezrozumnej i krzywdzącej nietylko inne stany, ale całe państwo, egoistycznej polityce szlachty. Polityka ta zabiła przemysł polski. Miała ona na celu jaknajwiększe obniżenie cen wyrobów przemysłowych, aby szlachta za drogo sprzedane zboże mogła je tanio nabywać. Celu wprawdzie nie osiągnęła, bo towar pozostał nadal drogim, ale za to przyczyniła się do zniszczenia przemysłu i handlu rodzimego, zaprotegowała handel kupców obcych, którzy swym towarem zalewali wprost Polskę. Wywołując z niej nie wyroby miejscowe, ale zboże, mąkę, bydło i owe „roboty leśne“. Cały handel dostał się w ręce obcych...“ (str. 111—112).

Występując przeciw polskiemu i spolszczonemu mieszczaństwu, rozbijając organizację cechów szlachtą szerokie otwierała bramy przed napływającą z Zachodu żydami, darzył przybyszów przywilejami (str. 156) i przyczyniła się swą krótkowzroczną polityką do tego zgubnego w swych następstwach faktu, że Polska nie miała swojego stanu trzeciego, że polski organizm narodowo-państwowy nie rozwinął się normalnie.

Grzech popełniony przez szlachecki stan wobec stanu miejskiego budzi pytanie, czy nie popełni dziś tegoż grzechu w innych warunkach. stan włościański, powołany do przedniej roli w odrodzonej Rzeczypospolitej? Czy nie pójdzie włościaństwo nasze drogą polityki samolubnej i aezrozumnej, krzywdzącej nie tylko inne stany, ale całe państwo? Czy zrozumie, jak doniosłe znaczenie ma rozwój miast i kultury miejskiej dla przyszłości Polski? I czy zechce dla tej przyszłości dziś część swoich korzyści bezpośrednich w ofierze złożyć?

LITERATURA I SZTUKA.

SPÓŹNIONE WAWRZYNY.

Wiktor Przeclawski: Felicjan Medard Faleński. Żywot i dzieła. Poznań—Warszawa 1922. Nakład księgarni św. Wojciecha.

Śród rozmowy literackiej na temat naszego repertuaru dramatycznego, zdarzyło mi się niedawno rzucić nazwisko Faleńskiego. Jeden z młodszych kolegów, krytyk zdolny i wybitny, zauważył: „Ale 'po za *Barbarą Radziwiłówną*...“ — Mówię o Faleńskim, nie zaś o Felińskim — sprostowałem szybko. — Nie znam, nie słyszałem“ — brzmiała krótka odpowiedź.

W tem niepokojącym oznajmieniu jest jakaś specjalna melancholija. Krytyk, o którym mowa, zbyt giętka ma inteligencję, aby się trzymać łatwej wiary: „literatura zaczyna się od nas“. Nie wiedział, albo poprostu nie pamiętał o Faleńskim dla tego, że to, co o nim czytał pobieżnie, nie zachęcało go do poznania dostojnego poety. Przez cały swój żywot twórczy Felicjan był zupełnie w Polsce odosobniony, a w kilkanaście lat po jego śmierci, młodsze pokolenie już o nim wcale nie wie. Za życia Faleński nie chciał prac swych podpisywać własnym nazwiskiem. W pamiętniku swym tak sprawę wyjaśnia: „Powody moje, gdyby i dziś przyszło rzecz tę decydować, byłyby te same co wtedy. Jest jakaś fatalność, przywiązana do mego nazwiska; Sądzę, że musi być tak trudne, czy też tak mało wybitne, jak rzadko. Nieraz najbliżsi nazywali mnie Faleckim, Felińskim lub nawet Falkowskim. Nie widziałem nigdy, żeby się równie płałano pomiędzy np. Wójcickim, Wójczyńskim i Wójcikiewiczem; Górskim, Gurowskim i Góreckim; Trębickim, Trębińskim i Trąbczyńskim — choć warunki to przecie jednakowe“. *Fatalizm* po śmierci poety przybrał formy znacznie ostrzejsze: teraz już literat polski tego nazwiska *wcale* nie zna...

I oto zjawia się w takiej chwili zapomnienia hołdownicza monografia o twórcy „Althei“. Aby podobna monografia odegrać mogła rolę właściwą, godną nazwiska Felicjana, musiałaby odpowiadać dwom warunkom: wydobyć wszystkie walory twórcze poety; posiadać piękną, pociągającą formę. Niestety, powiedzieć musimy z góry, że dobra wola p. Przeclawskiego zadaniu nie sprostała. Geneza jego pracy jest taka: „Między rękopisami Faleńskiego, które poeta bibliotece Wilanova przekazał, znajduje się jeden wielkiego formatu zeszyt, częścią drobnem pismem zapisany, którego treścią: pamiętniki, lat najwcześniejszych wspomnienia, na przeżyte okresy i epoki poglądy, sądy o ludziach i rzeczach, cenne notaty i opisy, które stanowią ciekawy przyczynek do historii kultury i obyczajów XIX w.“ P. Wiktor Przeclawski, czujny i poważny bibliotekarz Wilanova, poznawszy te dokumenty, miał do spełnienia jeden naturalny obowiązek: postarać się, aby pamiętniki tak cenne, w epoce, gdy potrzeba pisania wspomnień gaśnie coraz bardziej, zostały coprędzej drukiem ogłoszone. Zamiast tego, p. Przeclawski postanowił stworzyć „przyczynek“: według pamiętników

Felicjana napisał dzieje jego żywota i utworów, wybierając z manuskryptu to, co jego interesowało i — starym zwyczajem, — streszcza lub opisuje po kolei wszystkie utwory Faleńskiego.

Wynik takiej metody nie okazał się dość płodnym. Z cennych „poglądów i sądów o ludziach i rzeczach“ autor monografii powtórzył niewiele; szczegóły zaś życiorysowe, które przytoczył za pamiętnikiem, stwierdzają jeszcze raz, że tacy pisarze-samotnicy, jak Faleński, żyjący w sztuce i dla sztuki, nie mają skomplikowanej biografii. Etapami ich żywota są przeżycia artystyczne, zamknięte w poszczególnych dziełach. Przyczyn osamotnienia Felicjana nie pogłębił p. Przeclawski a miał naprawdę wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia np. z dziejów stosunku poety do pozytywistów lub do późniejszych kierunków społecznych i literackich w Polsce. To też ile razy autor monografii sięgnie bezpośrednio do pamiętnika, podaje szczegóły ciekawe i charakterystyczne. Oto np. dzieje powieści „Nad morzem“ sprzedanej za tysiąc (!) złotych: „Powieść ta widocznie pod złą przyszłą na świat gwiazdą. Nie odzyskałem jej aż w roku 1865, na samo rozpoczęcie wychodzenia *Bluszczu*. Nabył ją Głücksberg i posłała do pierwszego numeru. Na nieszczęście, stało się to w mojej nieobecności. Redaktorka, Marja Ilnicka, chcąc z niej, w mniemaniu swoim, utworzyć arcydzieło, nie spytawszy się nawet o upoważnienie, porobiła w niej zmiany, a nawet dodatki obszernie nie do uwierzenia i wszystko to wyszło pod moim nazwiskiem. W lat parę później, Lewestam, zabrawszy się do mojej skóry, osobiłwie mię za ten utwór zjeździł. Wiedział bowiem, że ani dowodów owej przeróbki w rękę nie mam, ani nawet, choć bym je miał, protestować nie mogę, wobec zamieszczonego mego na owym utworze nazwiska“.

Atmosfera takich *bluszczowych* korepetycyj mało sprzyjała do związania Felicjana z bieżącym życiem literackim w Polsce. Poświęciwszy znaczną część swej twórczości dramatowi, nie mógł zrozumieć, dla czego nie budzą zainteresowania. „Bo one próbowały szczęścia na niejednym konkursie — ale je zawsze, z przyczyny braku warunków scenicznych, z powrotem do teki odsyłało“. To też Felicjan uważa ironicznie, że „w niepewności, do jakiej kategorii wytworów piśmiennych je zaliczyć — ile że ani poematami, ani powieściami nie są — możeby im przystała raczej nazwa: rozimów ludzi nieżyjących“.

Felicjan, śród długiego swego żywota literackiego, przeżył w samotności zupełnej dwa dramatyczne etapy: najpierw w swym kulcie formy, w swym parnasizmie miał poczucie, że jest przedwczesny; a pod koniec żywota musiał zrozumieć i uświadomić sobie, że jest... spóźniony. Ujawniło się to zwłaszcza w jego stosunku do młodej sztuki polskiej, w końcu XIX wieku. Jego dojrzała prośłota z przerażeniem np. spotkała okrzyki nagiej duszy Przybyszewskiego. W pozostawionym śród manuskryptów satyrycznym meandrze taką prowadzi rozmowę z muzą:

„O Muzo! ty mi proszę powiedz:
Czego chcą, gasząc Ogień Westy,
Te udające grom szelesty,
I ta kurzawa z pod stóp owiec,
Które przepędza Nadschyłkowiec,

Z Dziewiętnastego w wiek Dwudziesty?
 — Nie wiem. Te tłumy rozwichrzone
 Leca, gdzie każe Dusza Naga —
 A mnie zdumiewa jej odwaga.
 Przeto, zakrywszy twarz w zasłonę,
 W tym pędzie zakurzona tonę,
 A wiatr mi plecy biczem smaga“.

I ubolewa dalej poeta, że „z tej niewestalskiej ich świątyni, poszły wygnane precz za wrota: pokora, prawda i prostota“. Takich *protestów* ducha już Felicjan drukiem nie ogłaszał. Był już poza epoką, która go wydała a która pomieścić go nie chciała. W ostatnim swym testamentie poetyckim wierzył jeszcze, że „nad niepamięci mej rzeką kwiat myśli mojej znajdziecie“.

Czy ten kwiat uszczknął p. Przecławski i czy zdoła przekonać dzisiejsze pokolenie do jego cudnego kształtu i zapachu? Wątpię. Nie wystarczy biblioteczny przyczynek, ani nawet pietyzm. Do Felicjana zbliżyć się może tylko rzetelny artysta i on go objawić zdoła nowej Polsce. Niewątpliwie nadejdzie chwila, gdy ten przedwczesny i spóźniony zarazem poeta wskrzesi w tradycji *zywej*, wśród młodej literatury naszej.

Jan Lorentowicz.

Z cyklu:

BIAŁA MIŁOŚĆ.

I drżały i mdlały, płonęły dwa ciała,
 Pizemożny powiązał je fluid,
 A cicha tęsknota ma grała i łkała,
 Jak gra na menhirach swych druid.

Jak druid na harfie, wywodząc swe żale,
 Stojący na smętnym menhirze...
 Całunki się skrzyły, jak cudne opale,
 Nad każdym — tęsknoty, jak krzyże.

Nie zdusisz wołania, nie zdusisz ich łkania,
 Ni lawy zalejesz potokiem...
 I jaśmin swe kwiaty przeczyste wyłania,
 Choć tryskasz granatów nań sokiem.

II.

W nienasyconych twoich objęciach
 Marzyłam: oto drzwi twej świątyni
 Otworzy miłość, co cuda czyni.

W złotych zaśnieniach we wniebowzięciach
 Wypiją wodę kryształną dusze,
 Omdlewające w żarnej posusze.

Otom przed twojej duszy świątynią,
 Co zdobna, jako chramy Ellory
 W głązną koronkę, w głązne paciory.

Och, ujrzę, ujrzę duszy twej lico...
 Żłote wierzeje otwieram drżąca,
 Wchodzę z miłością, wchodzę tęskniąca.

Światłem rubinu lampa się pali.
 Wśród kolumn — Kali wieloramienna...
 Moja tęsknota, moja bezdenna!

Wieloramienna bogini Kali
 Wyciąga ku mnie, stojąc na wnece,
 Nienasycone, cielesne ręce.

Hanna Zahorska (Savitri).

KRONIKA LITERACKA.

Jan Powalski: *Nad jeziorem*. (Sielanka wielkopolska z XIII wieku) 1921 Gebethner i Wolff.

Opowieść p. Powalskiego dotyczy czasów dawnych, zamierzchłych. Tych czasów, kiedy to zgromadzony na święto Wielkiej-Nocy lud śpiewał pobożnie „Alleluja“, lecz przeważnie nie umiał powiedzieć, w co wierzy naprawdę. „Ale do czarowników i bab, czyniących nawiązy i zaklęcia, znali drogę i do szkaradnych djabelstw i czasów leśnych i łąkowych“. Ten niezdecydowany w rzeczach wiary lud miał zato mocne umiłowanie i mocną wolę: ku ziemi, ku puszczy nieprzejrzanej. Każde uczucie, każde pragnienie jakgdyby zrosło się z ziemią i przyrodą; w nich się zaczyna i ku nim ostatecznie podąża.

Odtworzyć człowieka z owych zamarych dni, ale nie zagubić go w bujnym życiu przyrody, ocalić jego w stosunku do niej odrębność, lecz zarazem nie uronić nic z tych serdecznych uczuć, które go z nią nierozdzielnie łączą — oto niemałe zadanie artystyczne. O p. Powalskim trzeba powiedzieć, że to zadanie rozwiązał pomyślnie, że środki artystyczne, które zastosował, pozwoliły mu uczynić z prostej, niemal codziennej, opowieści zjawisko pełne prawdziwego uroku.

Bo to jest właśnie najciekawsze, że odwieczny bór, opisany krótko, zwarcie, nie utracił w przedstawieniu autora nic ze swego tajemniczego szumu, że nie przesunęły się bez śladu fale olbrzymiego jeziora, nie przesunął się bez echa żalony krzyk miłosnego pożądania.

Oszczędność słów jest wprost uderzająca. Oto n. p. prawie wszystko, co się rwie z duszy Jarosta w jakiejś chwili radości: „Co jest w tobie, o miła, żeś najmilsza nad wszystkie... Skąd przyszło, żeś się taka stała, udała? Jakiż cud łaskawy, boski, żeś taka się udała, i jesteś, i mnie lubisz?“

Jeżeli mimo takiego nieledwie skąpstwa w użyciu słowa udaje się autorowi wydobyć całą siłę i cały urok szczerości, jaka tchnie z wszystkich jego postaci — to przyczyną tego sukcesu jest głównie zdolność ukazania najważniejszych cech charakteru opisywanego bohatera. Trudno coprawda mówić o wżyciu się w jego życie, ale dusza to może zbyt pierwotna, zbyt prosta, nie podlegająca szczególniejszym nastrojom. To jednak pewna, że czyny Jarosta, Nawojki, opata czy mnicha są tu wszędzie naturalne, jak najbardziej ludzkie, a czasem dzisiejszym przekazane przez autora z przekonującym, epickim spokojem.

A potem język, którym się przemawia w książce i którym autor posługuje się we wszystkich opisach! Żyje w nim jakaś żywołowa świeżość i ciężna staropolszczyzna i każe radować się, że istnieje takie, zawsze jeszcze niestety mało wyzyskane przez pisarzy źródło ożywczej mocy.

Spoista i wyraźna konstrukcja powieści jest zawsze jej podstawowym warunkiem i z tego tytułu pochwały dla autora byłyby zbyteczne, warto jednak zaznaczyć, że umiał on z pewnym powodzeniem utrzymać w ciągu całego opowiadania swoisty nastrój, który łagodnie ale coraz posępniej dostosowuje się do zamierającej przyrody, jeszcze raz mocno łącząc z nią człowieka i jego dolę nieszczęsną.

S. R.

Jakób Copeau.

TEATR „LE VIEUX COLOMBIER“ I JEGO SZKOŁA.

(Staraniem miesięcznika paryskiego „*La Nouvelle Revue Française*“ wychodzić zaczęła biblioteczka p. t. „*Les Cahiers du Vieux Colombier*“. Podajemy tu w skróceniu interesującą broszurę *Jakóba Copeau*, twórcy tego znakomitego teatru studjów, który stosuje taką samą metodę pracy, co warszawska „Reduta“.)

I.

Pragnąc odbudować zrujnowany Teatr, musimy uświadomić sobie całą wielkość naszego zadania. Nie ogarniemy go nigdy z dostatecznej odległości. Aby je spełnić — nie brak nam ani talentów, ani pomysłów, ani zapału. Niegdyś najskromniejszym arcydziełem kierowała dyscyplina pracy. Jest to reguła dobrego myślenia, wiodącego do zdolności dobrego czynu, — kompetencja mająca na widoku doskonałość.

Sztuka i rzemiosło — to nie są dwie rzeczy odrębne. Inwencja i genjusz nie mogą się zbyć wiedzy i metody. Ci zaś, którzy pracują, aby je nabyć a później doskonalić, nie stworzą dzieła trwałego, jeżeli nie pomyślą o tem, aby je przekazać drogą nauki.

Może być prawdą, że w epokach szczęśliwych instynkt zda się zastępować twórczość. To, co nazywamy wówczas instynktem, jest tylko siłą i swobodą genjuszu osobistego, karmionego odwiecznym nauczaniem, natchnionego żywą tradycją. Otoż chodzi nam o coś więcej, niż o przestrzeganie lub wyuczanie się reguł. Musimy je odnaleźć.

Jeżeli najwyższe piękno jest dzieckiem największej ignorancji, trzeba przyznać, że wielu z naszych współczesnych nie miałoby współzawodnictwa wśród dawnych rzemieślników. Epoka dzisiejsza korzysta nie tylko z istotnych ignorancj, ale jednocześnie z takich, które jej się podoba udawać pod nazwą naiwności. Byliśmy obecni przy wszelkich ćwiczeniach instynktu na wolności. Widzimy teraz, jak następuje po nim gwałtowna potrzeba kierunku i stałości. „Poszukiwanie szczeroci“ jest patetycznym rozdziałem historii naszych czasów.

Domagając się mniej dowolności a więcej kultury i wykształcenia zawodowego dla człowieka rzemiosła, nie mam zamiaru zamykać na pokucie w ponurem seminarjum najpiękniejszych darów artysty. Pragnąłbym tylko, ażeby te dary były lepiej użytkowane.

Aby nie wprowadzać do dzieła czegośkolwiek, co nie jest naszym, trzeba posiadać znajomość i dobór środków, które są niepodzielnym dziedzictwem pokoleń. Jeżeli technika żyje tylko szczerocią, to szczeroci rozwija się jedynie w mocnej technice. Niema wielkiej szczeroci bez mistrzostwa. Iluż to widzimy ludzi oderwanych od własnego genjuszu, gdyż zbywa im na wykształceniu właściwym ich sztuce, zbywa im na nauce, przystosowanej do ich natury. Iluż jest takich których nie można podejrzewać o oszustwo, którzy nie pojmują zgoła, aby im taki zarzut można stawiać, skoro

ich zamiary są tak czyste, a jednak nie mogą się wypowiedzieć inaczej, jak tylko w języku pożyczanym. Bo nie wystarcza chcieć być szczerym. Trzeba być do tego zdolnym.

Tam, gdzie rozluźnione są zasady i gdzie zaginęły sposoby pracy, nie brak zajmujących prób a nawet dzieł dobrego smaku, ale brak — zwyczajnej zdolności rzemieślniczej. Stąd to tylu amatorów lub zawodowców pozbawionych rzemiosła żyje w niełasce pośród własnych dążeń. Produkcja mistrzów dostarcza im autentycznych przykładów, które oni podrabiają lub fałszują. Do nich to zwracał się niedawno Juljusz Romains w takie słowa: „Stajecie wobec dzieł mistrzów niby emalier dzisiejszy wobec starej emalii wschodniej. Podziwiacie i zazdrościcie wyniku, którego środki są wam obce. Zmuszeni więc jesteście przy swej pracy albo nie zwracać zgoła uwagi na te środki, albo też naśladować je, udawać. Odmówiono wam jedyne, uczciwego i normalnego stosunku pomiędzy dziełem przeszłości a teraźniejszości a mianowicie — tradycji technicznej, to jest dobrodziejstwa człowieka więcej doświadczonego od was, który was wprowadza do samego wnętrza swego doświadczenia.“ *)

Ci, którzy sądzą, że nic dobrego nie może wyjść ze szkoły sztuki, wysuwają jako argument zasadę *powołania*. Mówią, że wielkie powołanie obywało się zawsze bez zorganizowanej nauki; że przeciwnie cierpiało z powodu niej; że tam, gdzie braknie powołania, nie zastąpi go żadna nauka i że, oświecając nieco umysły bez wartości, narażamy się na podtrzymywanie miernoty.

Bardzo być może, że wielkie powołanie nie zawsze spotykało naukę stojącą na wysokości zadania. Bardzo być może, że nie korzystało z niej wcale. Ale nie wiadomo, czy pozbywało się jej bez żalu i czy ten brak nie wprowadzał niekiedy na manowce niektórych jego poczynań lub czy nie opóźniał jego dojrzewania.

Jednostka wybitna staje ponad nauczaniem swej epoki. To nie znaczy, że nie powinna go otrzymywać. Dodaje ona do nauczania własny talent, aby przekazać następcom bogatsze dziedzictwo. Odnajdujemy w ten sposób pojęcie przekazywania to jest nauczanie.

Ale czy sprawiedliwym jest uznawać jedynie jednostkę wyjątkową, uważać za słuszne tylko to, co służy do jej rozwoju? I czyż powiemy, że człowiek genialny godny jest wziąć na siebie odpowiedzialność za kulturę?

Można być zdania Goethego, że niezbędne są tylko dzieła nadzwyczajne. Ale istnieją dzieła mniej świetne, które jaśnieją siłą i zdrowiem, trzymają się mocno i wiernie spełniają swe zadania chociażby w zakresie ochrony dobrego smaku epoki i podtrzymywania jego orientacji. Podpierają twory najwybitniejsze, łączą ją między sobą i z dziedziną pokrewną, niby łańcuch gór wobec wierzchołków, które panują nad nim. Służymy więc dobrze rozwojowi danej sztuki, podnosimy jej poziom, czynimy ją zrozumialszą, bliższą a więc żywszą,

*) *Juljan Romains* „Wstęp do kursu techniki poetyckiej“ (*La Nouvelle Revue Française*. 1921. VII).

gdy stosujemy dobrze pomyślane wysiłki do nauczania zbiorowości artystycznej, utrwalającej jedność, spistość, trwałość, wszystko słowem, co stanowi istotę szkoły.

Prawdziwa nauka wykładana przez prawdziwego mistrza nie tworzy miernoty. Nie dąży ona do fabrykowania tych sztucznych talentów, które kwitną w atmosferze salonów i konkursów. Obcowanie z człowiekiem urodzonym dla szlachetnej misji nauczania, posiadającym kompetencje i powagę, zaufanie i szacunek, które wzbudza — tworzy charaktery. Prawda estetyczna, podobnie jak prawda moralna, rządzi duszami, wzmacnia je i wychowuje.

Nauczanie żywe i ciągłe, dobrze ustosunkowane w swych częściach, jeżeli jest udzielane i przyjmowane poważnie (byleby stosowane do ucznia niezbyt późno), nawet kierowane do średnich zdolności — wydać może wyniki, których nie osiągnie talent bez przewodnika i doprowadzić może do realizacji artystycznych, których wiek nasz stracił już poczucie.

Łatwo mi w tej chwili dojrzeć w wychowaniu artystycznym czynnik znacznie ważniejszy, niż powołanie. Ale jeżeli chodzi o sztukę teatralną, zdaje mi się, że zagadnienie nie zostało nawet postawione.

„Teatr — trzeba to otwarcie powiedzieć — przyciąga głupców“. Strzała ta pochodzi od Becque'a. Skierował ją do autorów. Nie trzeba było, jak sądzę, prosić go bardzo, aby ją zwrócił także do autorów. Każdy chce być dzisiaj aktorem. Jest to znamienna cecha szarej epoki, w której żadna świętość nie biori dostępu do Teatru, w której przepychają się wzajemnie wszelkie aspiracje i wszelkie stanowiska. I cóż się mieści w tych powołaniach? W dziewięciu wypadkach na dziesięć — wiele lekkomyślności, lenistwa i próżności, ponęta lekkich obyczajów, zdumiewający brak ukształcenia, tego minimum elementarnych wiadomości nabywanych w każdym innym rzemiośle. Widziałem dosyć mężczyzn i kobiet „poświęcających się“ teatrowi, abym mógł powiedzieć, że powołanie ich jest najczęściej oznaką mniej dobrych skłonności ich natury. I jeżeli nauczyłem się nie ufać takim powołaniom, zamiast szukać w nich wskaźnika, to dlatego właśnie, że dostrzegałem w nich przedewszystkiem zaczątki zbroczeń i nałogów, które nadają naszemu zawodowi najbardziej okrzywane miano. Spada on bowiem coraz niżej, jeżeli go nie podniesie jakaś cnota a nawet nieco wzniosłości.

Istnieje teoria, według której aktor „umie zawsze dosyć“. A przedewszystkiem inteligencja ma być raczej dla niego szkodliwa, niż użyteczna. Mówi się o aktorze, że jest „inteligentny“, aby zainsynuować, że jest dosyć mierny. Uważa się, że dla interpretatora dzieła dramatycznego wystarczy dar specjalny, przez który zawładnie prawdą charakterów, źródłami wzruszenia, dowcipem, ruchem i stylem.

Wynika stąd nietylko zagadnienie, jakie powinny być dary artysty i nie tylko zagadnienia przewagi daru nad wiedzą. Należałoby rozstrzygnąć — ale nie tu miejsce na taką sprawę — co się rozumie dokładnie, gdy się mówi

o interpretacji, czem jest właśnie interpretator w stosunku do dzieła sztuki, jaka jest funkcja aktora w dramacie, co należy rozwijać z jego darów, w jakim kierunku i granicach, gdzie się zaczyna kabotyzm, mały lub wielki, mierny lub wzniosły.

Arystoteles już skarżył się, że nadmierna specjalizacja aktorów pozbawiła ich wolnego czasu na kulturę ogólną, którą jedynie zdolna jest wydać dobry charakter. Za naszych czasów Eleonora Duse powiedziała, że należy zabijać komediantów, gdyż „czynią sztukę niemożliwą“. Gordon Craig postanowił zamienić ich przez marjonetki. Ja zaś myślę, że należy ich kształcić, ale nietylko wyłącznie w praktyce ich specjalności i nie tyle dla udoskonalenia ich techniki, ile dla harmonijnego rozwoju i stopniowego nabywania wszelkich wiadomości z ich sztuki, czerpanych z najszlachetniejszych źródeł. Tylko kultura ogólna przywróci im wysokie cechy ludzkie i godność nazwy artysty, gdyż „pracownik zawodowy istnieje pozytywnie dopiero wówczas, gdy jego ukształcenie wzniosło się do świadomości teorii“. ¹⁾

KRÓL PARIKSZIT.*)

Był król, Parikszit imieniem, odrośl plemienia Kaurawów. Jak niegdyś Pandu, prapradziad, silnego był on ramienia, pierwszy wśród bitwy z rycerzy, w myśliwstwie zamiłowany. Przebiegał lasy bez końca; gazy, dziki i wilki, bizona strzałą przeszywał, inne też dzikie zwierzęta. Raz antylope ugodził, łuk więc na plecach zawiesił, w las się głęboki zapuścił, rannego zwierza ścigając. Tak z łukiem Rudra potężny, nieba przebywa obszary w ślad antylopy ranionej, której to postać na siebie ofiara bogów przyjęła. Wypadku dotąd nie było, by zwierzę, raz ugodzone, przed Parikszitem umknęło. Ale ta łania, choć ranna, sunęła jakby gościńcem, w niebie dla króla otwartym, — tam go istotnie zawiodła. Stało się że antylopa, strzałą monarchy przeszyta, władcę w las gęsty wciągnęła i tam mu z oczu zginęła.

¹⁾ *Vaillant* „Teoria architektury“.

*) P. Helena Wilman-Grabowska jest profesorem sanskrytu w Sorbonie paryskiej. Przełożyła ona niedawno fragment z *Mahābhāraty*, cz. I na język francuski i pomieściła go w czasopiśmie *Bulletin de la Table Ronde de France*. Wydawnictwo „Panteon Literatury Powszechnej“, które właśnie przystępuje do druku dzieła p. t. *Indje* — uprosiło p. H. Wilman-Grabowską, żeby również i na polski tę piękną baśń przełożyła. Przekład francuski jest nieco skrócony; przekład polski całkowity. Pozwalamy sobie rzecz tę przedtem wykrukować w naszym czasopiśmie.

I. Cz. *Mahābhāraty* jest przygotowaniem do całego poematu. Król Saunaka odprawiał wielką dwunastoletnią ofiarę. W czasie tej ofiary ukazał się bramin, imieniem Sauti, który opowiada dzieje wojny domowej Bharatytdów. — Opowiada on przedtem o wielkiej ofierze, jaką odprawiał przodek Saunaki, Dżanamedżaja, który zaprzysiągł zniszczenie wężów. Jakoż przez długie lata węż, przez zaklęcie ścigane — szły prost w pionące dokoła ognie. Ofiara ta była: zemsta za śmierć Parikszita, ojca Dżanamedżaji. Wówczas zapytał Sautiego król Saunaka, jak zginął Parikszit. Na co mu wiesz opowiada poniższą historję.

Zmęczony król i spragniony natrafił w lesie na muni*); w zagrodzie dla krów ten siedział, pianą do syta się żywił, co z warg cielećtom ściekała, gdy ssały mleko swych matek.

Podszedł ku niemu czempredzej głodny, zmęczony ów władca i, łuk podnosząc, zapytał ascety o surowych ślubach:

„Brahmanie, jam król Parikszit, syn Abhimanyu rodzony; łanię, com strzałą ugodził, przed chwilą z oczu straciłem, może ją tutaj widziałeś?

Lecz ślub milczenia chowając, muni nie odrzekł i słowa. Rozgniewał się pan; końcem łuku tuż zdechłą żmiję podjawszy, ze wzdargą mu rzucił na ramię. Muni to zniósł bez oporu i nie powiedział mu słowa, dobrego ani też złego. Król wtedy z gniewu ochłonął, smutek i wstyd nim owładnął. Zawrócił do swej stolicy, a riszi pozostał tak jak był. Wiedział riszi**) przebaczenia pełny, że król, pomiędzy królami, jak tygrys między zwierzętami, cnotą dzielnością górował; nie przeklął, choć znieważony. A zaś ów tygrys-monarcha, przedni z Bharatów rodziny, nie wiedział, iż to był muni i tak srodze go obraził.

Syna miał mędrzec ascetę, Sringi mu było na imię. Duch tęgi, surowych ślubów, twardej reguły się trzymał; gdy gniewny, nie znał przebaczeń. Daleko u mistrza przebywał, ku dobru wszech stworzeń się kształcił.

Przez mistrza raz zawołany, do domu szedł, gdy towarzysz innego mędrca syn, zwany Krisza, sztydzić zeń zaczął, żartując.

Gniewem się Sringi zapalił, jadem swej żółci zatruty, gdy wieść o ojcu usłyszał.

Albowiem Krisza powiedział: „Nie bądź zbyt dumny, o Sringi! jakkolwiek ascetą jesteś, wielką moc ducha posiadasz, ojciec twój znosi dotknięcie żmiji trupa do swego ramienia. Więc nie waz odzywać się do nas, synów riszich, co posiadamy istotną znajomość prawdy, co w umartwieniach surowych cnotę osiągnęliśmy. Gdzież twoja dzielność? czem mowa wyniosła, z dumy zrodzona, gdy musisz cierpieć, by ojciec twój zdechłą żmiję na ramieniu dźwigał.***) O najprzedniejszy wśród munit! nie złego twój ojciec nie zrobił, by na taką pogardę zasłużył i dlatego przykro mi niezmiernie, jakbym to ja sam był znieważony“.

Tą wieścią zaskoczony Sringi, gniewem zapłonął potężnym i patrząc w twarz prosto Kriszy, łagodnym głosem zapytał: „Powiedz mi, proszę, i czemu zdechłą tę żmiję na barki ojciec był przyjąć zmuszony?“ Rzekł Krisza: „Gdy król Parikszit lasy przebiegał, mój drogi, ojcu twojemu zarzucił martwą tę żmiję na ramię“.

Zapytał Sringi: „Mój ojciec czyż krzywdę wyrządził jaką owemu złemu monarsze, powiedz mi to jeszcze, Krisza i niech się okaże cała potęga moich umartwień“. Rzekł Krisza: „Na polowaniu, syn Abhimayu, Parikszit, zranioną łanię ścigając, stracił ją z oczu w gęstwinie. Ojca twojego ujrawszy, podszedł czempredzej do niego, lecz ten milczenia ślub chował. Król głodny, spragniony, znudzony, raz jeszcze i jeszcze zapytał ojca twego o zwierzę zginione. Ale wierny swym ślubom ów

święty—odpowiedzieć nie raczył wcale, a monarcha, końcem łuku węża podjawszy, na ramię mu cisnął. O Sringi, twój ojciec wytrwale w poniżeniu tak dalej zostaje, król zaś wrócił do swojej stolicy, Słonio-grodu, miasta szlachetnego,

Usłyszawszy to Sringi potężny, jakby wryty stanął tuż na miejscu, oczy płoną mu w myśli pożarze. Owładnięty najstraszliwszym gniewem przeklął króla ów świat *tedžasvi*¹⁾, wezwał gromu dotykając wody²⁾,

Złego władcę, co trupem śmiał splamić ramiona biednego starca, okrutny Takszaka, król wężów, pełen jadu piekącego, głosem moim przywołany, zawiedzie do państwa śmierci³⁾ nim siedem nocy upłynie. Zaprowadzi tam monarchę, zakałę rodu Kuarawów, zakałę dwójurodzonych⁴⁾.

Po tem przekleństwie grzesznika w gniewie nieuspokojony Sringi szedł prędzej ku swemu ojcu, co w zagrodzie dla krów siedząc, cierpiał wciąż dotknięcie trupa. Widząc poniżenie starca Sringi ból uczuł szalony. Z oczu łzy mu się polały, rzekł do ojca: „Gdym o obeldze usłyszał, którą ci ten niegodziwy Parikszit śmiał wyrządzić przekląłem monarchę w gniewie. Nie wyjdzie siedem dni i nocy, a Takszaka, najpierwszy z wężów, zawiedzie zuchwałego władcę do Waiwaswata-Jamy siedliska“.

Gniewnemu tak brahmanowi cierpliwy odpowiedział starzec: „Niemiałą mi rzecz uczyniłeś, nie pokutniczą, o synu. Żyjemy w państwie Kaurawy⁵⁾ pod jego opieką i strażą, przeklinać go się nie godzi. Za pieczę królewską nad nami cierpliwość mu się od nas należy, to nasze dharma⁶⁾ i jego: naruszać tego niewolno. Gdyby nie ramię króleskie, ucisk brahmanom by groził, świętej religji niewola. Na świątobliwych oparci władcach, pełnimy nasz zakon, im zaś jednamy od niebios błogosławieństwo. Złego czynu dokonał Parikszit, gdy był głodny, zmęczony zapewne, panować nad sobą nie zdolny, o ślubach mych nie wiedzący. Czemuż więc tak nierozsądnie, tak nagle złą rzecz tyś uczynił? Nie zasługuje bynajmniej ów król na nasze przekleństwo“.

Rzekł Sringi: „Żlem czy pospiesznie postąpił, miło ci czy nie miło, ojcze, raz wyrzeczone me słowo nie będzie nigdy daremne. Musi tak być, jakom wyrzekł; nie mówię napróżno, ojcze, w rzeczach bez wagi, wiesz o tym, cóż dopiero przeklinając!“

Powiedział Śamika:?) „Znam synu, wielką surowość twej duszy i prawdomówność też wielką. Raz wyrzeczone twe słowo już nigdy się nie odmieni. Ale syn, choć zaszył w lata, napomnień ojca gdy słucha, dostojność ducha uzyska. Wielkie twe cnoty, o dziecię, wzrastasz w pobożność, w zasługi, lecz gniew w wielkiem sercu wzniecony wnet ponad miarę wyrasta. Widzę ja oto, iż trze-

1) *tedžasvi*, świetniejący cnotą i surowością umartwień (asceta).

2) woda jest symbolem płorunu: przekleństwo przy dotknięciu ręką wody — jest nieodwołalne.

3) tj. do Jamy — boga śmierci.

4) trzy wyższe kasty zowią się *dwidżą* „podwójnie urodzeni“ (rodzą się po raz wtóry przez obrząd wtajemniczenia).

5) kaurowa, połomek kuru tj. Parikszit.

6) prawo, obowiązek, moralność, linja postępowania i t. d.

7) Śamika — cierpliwy.

*) muni — pustelnik, mnich.

**) riszi — prorok, święty.

***) Dotknięcie trupa plami. Ci co noszą ciała umartwionych należą do kasty najbardziej pogardzanej.

ba zganić cię, o cnotliwy, mając na względzie twą młodość, gwałtowność i niedojrzałość. Opanuj się: w lesie ziołami żyj, gniew poskromiwszy, reguły tej nie lekceważ. Gniew bowiem odbiera joginom¹⁾ całe wewnętrzne skupienie, a gdy tak dharma utracą, drogi zbawienia nie znajdują. Do szczęśliwości prowadzi pokora, cisza wewnętrzna cierpliwych i powściągliwych. Cierpliwym świat ten jest dany; tamten świat też dla cierpliwych. Chodź, w cierpliwości się ćwicząc a zmysłem twoim panując. Światy, gdzie Brahma przebywa, sąw cierpliwością posiędziesz. Ja zaś, w którym cisza mieszka, co mogę zrobić, uczynię: posłę do króla, dam mu znać: „przeklętyś przez mego syna, młodzieńca niedojrzałego; nie mógł on ścierpieć o królu, obelgi mi wyrządzonej“.

I ucznia wezwawszy, ów święty, wytrwały w surowych ślubach, do króla litośnie go posłał, o zdrowie zapytać monarchy, oświadczyć mu hołdy należne. Słał ucznia Ganramukhę, zręcznego a uważnego. Ów szybko na miejsce przybył i przez straż prowadzony wszedł na pokoje monarchy. Ze czcią od władcy witany, pobożny Ganramukha odpoczął i tak powiedział:

„O Indro wśród królów, w tem państwie mędrzec Śamika przebywa, wielkich umartwień pokutnik, pan zmysłów swych, cnoty pełen. Temuż ty, o tygrysie wśród ludzi, zmię nieżywą podjawszy, końcem łuku na ramięś zarzucił, jemu co milczenia ślub chował. On ścierpiał ten czyn, lecz syn jego nie ścierpiał, Śringi gniewliwy. Przeklął cię dziś, królu-Indro, wbrew woli ojca własnego. Nim siedem nocy upłynię, Takszaka o śmierć cię przypawi, więc chroń się królu, — tak mówił. — Przekleństwa nikt cofnąć nie władny, więc święty Śamika mię przysłał, bo dobrze życzy ci, panie“.

Na straszną takową nowinę ów władca z pokolenia Kuru struchlał, że grzech ten popełnił, pobożny bowiem był bardzo. Gdy słyszy, że ów pustelnik, śluby milczenia chowając, świętym był wielce, tembardziej postępku swego żałował, współczucie zaś starca Śamiki do głębi go wstydem przejęło. Nie śmierci król bliskiej się lękał, lecz, nieśmiertelnym podobny, zła spełnionego żałował. Odprawił więc Ganramukhę, za łaskę świętemu dziękując.

Po jego odejściu ministrów na radę wezwał. Ich doświadczeniem wzmocniony, wysoki taras zbudował mocno oparty, broniony. I straż dookoła rozstawił, do siebie zaś wezwał lekarzy, ziół znawców wielkich, brahmanów uczonych w formułach zaklęć. Zamknawszy się wszelkie sprawy królestwa wraz z ministrami, pilnie strzeżony załatwiał. Nikt tam dostępu doń nie miał, do tego króla wielkiego, wiatr nawet, co wszędzie wolny, tam nie przenikał swobodnie.

Gdy nadszedł dzień siódmy, Kaśjapa, mędrzec w trucznach uczony, najpierwszy z dwójurodzonych, szedł króla z jadu uleczyć. Słyszał był on, że król węzów Takszaka, miał Parikszita do państwa śmierci wprowadzić. „Ukąszonego od węża na nowo zdrowym uczynię, skarbów od niego nabiorę, zastługę mieć będę“ myślał.

Ujrzał go Takszaka w drodze, Kaśjapę ostajej decyzji. Starego brahmana postać przybrawszy przed nim się stawił.

„Dokąd wielebność twa dąży i co uczynić zamysła“ zapytał najlepszy z węzów najprzedniejszego z ascetów.

— „Potomka Kury rodziny, Parikszita, zwycięzcę wrogów Takszaka, najpierwszy z węzów, ogniem swym dzisiaj przepali. Jadem ognistym strutego pospieszam, o przyjacielu, na nowo zdrowym uczynię“.

— Jam jest Takszaka, brahmanie; władcę dziś jadem przeniknę. Wracaj do domu, nie zdolnyś z ukąszeń moich wyleczyć.

— Pójdę do króla, ulecę ukąszonego przez ciebie; leków głęboka znajomość była mi niegdyś nadana.¹⁾

— Jeżeliś zdolny uleczyć cokolwiek jadem przepalę, to drzewo oto ukąsę, ożyw je znowu, Kaśjapa. Moc tak cudowną posiadasz? spalę to drzewo ujągrodha, uważaj wielki brahmanie!

— Ukąś to drzewo, o węzu, gdy wola taka jest twoja; ożywię je wnet na nowo, o pełzający na piersiach.

Zbliżył się monarcha węzów do pnia njągrodhy; straszliwe żądło zapuścił. Śmiertelnym jadem przejęte od najprzedniejszego z węzów, w ogniu wnet drzewo spłonęło. Wtedy rzekł wąż do Kaśjapy: „Okaż moc swoją brahmanie; monarchę lasu znów ożyw“.

Zgarnawszy dookoła popiół, święty w te słowa przemówił:

— Obacz potęgę mej wiedzy: to drzewo przez cię spalone ożywię, uważaj, węzu. I z dwójurodzonych najlepszy. Kaśjopa błogostawiony w popiół obrócone drzewo wiedzą swą tajną ożywił.

Żdźbło naprzód małe uczynił, dwoje mu listków wraz dodał; wnet potem cienkie gałązki, wnet grubsze, wnet pień się stał cały.

Ujrawszy to rzekł Takszaka do szlachetnego Kaśjapy: „Brahmanie wielka moc twoja. gdy jad mój, a więc i innych — zniszczyć potrafisz od razu. O ty, w umartwienia bogaty jakichże skarbów tam pragnął od najprzedniejszego z władców, gdyś cel wysiłków osiągnął; lecz czego zechcesz, to dam ci, choćby rzecz nie do zdobycia. Gdy zaś pomożesz królowi, którego życie skończone siłą przekleństwa brahmana, świętość swą podasz w wątpliwość. Twa sława, co blaskiem swoim dziś trojgu światom przyświeca — jak słońce bez promieni zgaśnie.

— Idę tam w nadziei skarbów. Daj mi je, o pełzający, a wrócę, wziąwszy bogactwa.

— Jeżeli ci skarbów potrzeba, większe są moje niż króla: dam ci je. Wracaj do sie, o wielki śród dwójurodzonych.

Na słowa Takszaki Kaśjapa, najlepszy pośród brahmanów mąż najświetniejszy, najmędrszy, pograżył się w medytacji nad króla przyszłemi losy. Boskiem poznaniem ujrawszy, że króla wiek już upłynął, odwrócił się ten promienny od Pandawiczów potomka.

Gdy święty Kaśjapa odszedł, Takszaka w tej samej chwili co rychiej do miasta pospieszył, Hastinapura¹⁾ zwanego. Usłyszał tam, że władcy świata usilnie bronią zaklęcia, czary i trucizn lekarze. Pomyślał: „skoro monarcha dla wszystkich jest niedostępny, jakże go w moc swoją dostać?

¹⁾ Brahma podarował Kaśjapie umiejętność zwalczania wszelkich trucizn.

²⁾ njągrodha — rodzaj drzewa figowego.

¹⁾ jogi — skupiony, oderwany od świata.

Postać pokutników przybrać kazał podwładnym swym węzom. ofiarę z owoców, trawy²⁾ i wody źródlanej zanieść: „Idźcie bezpieczni do króla w hołdzie brahmańskim zanosząc z owoców, kaszy i wody zwykłą pobożnych ofiarę.

Ci przez Takszakę nauczeni tak uczynili węzowie; zanieśli królowi *darbha*³⁾ wodę, owoce w daninie.

Przyjął król od nich to w hołdzie, cześć należytą im oddał. „Idźcie w spokój!” powiedział.

Fałszywi brahmanowie odeszli. Pan kazał przyjaciół wezwać: Jedźcie wraz ze mną owoce, pobożnych dar pustelników.

Tak chciał król wraz z ministrami popchnięty do tego losem czyli też wyrokiem mędrca.

Zaczął jeść ten właśnie owoc, który był mu przeznaczony. I wewnątrz ujrzał robaczka, co, drobny, z jądra wypełzał.

Małeńkie czarne miał oczy, ciemnej był skóry. Potężny władca na dłoń go położył i do ministrów powiedział:

— „Słońce zachodu już blisko, jadu się więcej nie lękam, lecz by nie próżno kłął brahman, niech mię ten robak ukąsi. Niech się Takszaka nazywa: stanie się wyroczni zadość.

Zgadza się z nim ministrowie: popycha ich Kala zniszczenie. Monarcha bierze robaczka, na szyi swojej go sadza. Śmieje się, niecierpliwym śmierci, rozważy wręcz pozbawiony.

Jeszcze się śmiał, gdy Takszaka go pierścieniem otoczył: z owego owocu był wypełził, przeznaczonego dla króla. Zwojem potężnym go ścisnął, świst wydał przerażający — i władcę ziemi ukąsił ów władca węzów straszliwy.

Gdy ministrowie ujrzeli monarchę w objęciach węża: jęk zgrozony a potem milczenie; bladeść i lzy na ich twarzy.

Lecz gdy ów świst usłyszeli, uciekli wszyscy z pałacu.

A wzniosłszy oczy ujrzeli, jak zwojem ognistym na niebie, podobny różowej girlandzie lotosów w błękitny rzuconych, sunął przepotężny Takszaka, przedniejszy z węzów, olbrzymi.

¹⁾ Słonogród. ²⁾ trawa: kurza, używana przy ofiarach. ³⁾ *darbha*: pęk trawy kurza.

Pałac cały w ogniu płonął, Takszakowym jadem przepojony. Zdjęci strachem uciekali dalej. Dom zaś runął wraz z nieszczęsnym królem. Z Sanskrytu przełożyła Helena Wilman-Grabowska.

Narodowy Centralny Komitet Wyborczy (sejmowy) i Narodowy Obywatelski Komitet Wyborczy (dla wyborów miejskich) urządzają w sali Towarzystwa Hygienicznego (ul. Karowa 31) cykl publicznych zebrań dyskusyjnych z następującym porządkiem dziennym:

Dnia 3 lipca (Poniedziałek):

- 1) Dr. filozofji Jerzy Loth: „Miasto a Państwo“.
- 2) Redaktor profesor Ernest Łuniński: „Miasta w dziejach Polski“.
- 3) Dyskusja.

Dnia 13 lipca (Czwartek)

- 1) Adw. przys. Cels Fabiani: „Sejm nasz a miasta“.
- 2) Czesław Rębalski: „Miasta a projektowana ordynacja wyborcza“.
- 3) Dyskusja.

Dnia 20 lipca (Czwartek)

- 1) Inżynier Stanisław Zawadzki: „Miasto a wieś“.
- 2) Dr. Józef Polak: „Dotychczasowa gospodarka miast naszych“.
- 3) Dyskusja.

Dnia 27 lipca (Czwartek)

- 1) Adwokat przys. Władysław Zawadzki: „Ordynacja wyborcza do ciał prawyborczych“.
- 2) Hilary Jeżewski: „Polityka a samorząd miejski“.
- 3) Dyskusja.

Początek o godz. 7-ej i pół wieczorem.

Sprostowanie.

W artykule D-ra J. Polaka p. t. „Konferencja Stowarzyszeń Ligi Narodów“ w № 26 „Tygodnia Polskiego“ spostrzegliśmy następujące błędy drukarskie: na str. 7 wiersz 22 od góry zamiast „księciem Gladstona“ powinno być „księżną Gladstone“; na str. 8 w. 19 zamiast „Borbek“ powinno być „Brabek“; na str. 8 w. 30 zamiast „28 maja jeszcze na początku“ powinno być: „18 maja jako początek“; na str. 10 2-ga szpalta w. 15 zamiast „autonomji“ powinno być „autoryzacji“; na str. 10 2-ga szpalta po w. 13 dodać należy: „Wywołało to protest ze strony czechów z usunięciem się od dalszego udziału, do czego przyłączyli się Serb Jowanowicz, delegat Rumunii i część delegacji polskiej“.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ wynosi **kwartalnie 1200 mk., miesięcznie 400 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedynczego numeru **100 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

„ „ Poznańskie i Pomorze „Ruch“, Poznań, ul. Pawła 1.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. succ. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.